



**Turbopatriotyzm
czyni z polskości
chorobę umysłową
przenoszoną przez
rząd, jego szefa
i zwolenników.**



**Zwiedzanie
Dudy**
str. 3

DZIENNIK COTYGODNIOWY

**Drang nach Norden, czyli co nam obca
przemoc wzięta, szablą odbierzemy.**

Wodzu, prowadź na Sztokholm



ilustr. WŁODEK KIERUS

MACIEJ MIKOŁAJCZYK

Portal Prawy.pl z okazji 364. rocznicy rozpoczęcia oblężenia Jasnej Góry przez szwedzkich heretyków: „Żydzi nie pozwalają nikomu zapomnieć o ofiarach holocaustu. Polacy muszą brać z nich wzór i pamiętać o cierpieniach swojego narodu, non stop przypominać o polskiej martyrologii, tej z ostatnich dekad i tej sprzed wieków, w tym o 4 milionach Polaków zabitych podczas Potopu Szwedzkiego. Gigantyczne straty Polski w wyniku potopu są dziś w Polsce zapomniane. Taka skleroza jest bardzo szkodliwa, bo Szwecja popiera szkodliwe dla Polski działania, wspierając tęczową zarazę w naszym kraju”.

Mówiąc wprost: szerząca tęczową zarazę Szwecja stała się wrogiem nr 1 Rzeczypospolitej i nadeszła pora, aby zapłaciła za największy od czasów Noego potop.

Ambasador ubolewa

Myśl to nie nowa – od 2010 r. działa Fundacja Odbudowy Zniszczeń Dokonanych w Czasie Potopu Szwedzkiego. Cel: zmuszenie Szwecji do zapłacenia zadośćuczynienia za zniszczenia i grabieże dokonane w XVII w. Fundacja przez 9 lat wielokrotnie zwracała się do szwedzkiego ambasadora w sprawie reparacji wojennych, ale choć żądała niewiele, raptem 4,5 mld zł za unicestwienie 188 miast, 186 wsi, 86 zamków, 136 kościołów, 30 browarów, 89 pałaców oraz wywiezienie dóbr kultury i dokumentów, kwoty wręcz śmiesznej, do dziś nie doczekała się choćby zdawkowej odpowiedzi. Szwedzki ambasador przemówił jedynie z okazji 360. rocznicy potopu, twierdząc, że nie ma pojęcia, „czy po ponad 1/3 tysiąclecia można prosić o wybaczenie”, ale ubolewa, „gdyż spowodowane wtedy na ziemiach polskich zniszczenia były tak ogromne, iż Polacy zapamiętali je jako swoisty potop”. Takie frazy

Szwedzi mogą serwować panoszącym się u nich ciapatym; my, naród wybrany i odpowiadający za los świata, domagamy się konkretów.

Obca dłoń nie przekreśli

Bo do konkretnego, czyli godziwego odszkodowania mamy pełne prawo, a na pewno pełniejsze niż Żydzi, wszak w wyniku szwedzkiego najazdu populacja Polaków zmniejszyła się o ponad 40 procent, zaś w rezultacie Holokaustu ubyło raptem 30 procent starozakonnych. Lecz żeby zadośćuczynienie ciałem się stało, nawoływania najlepszych synów Polski nie wystarczą, niezbędna jest zdecydowana interwencja państwa.

W 2012 r. sprawą reparacji wojennych i odzyskaniem dóbr kultury zrabowanych przez szwedzkiego najeźdźcę zajęło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Resort stwierdził, że traktat oliwski z 1660 r., zobowiązujący Szwecję do naprawienia szkód, stracił aktualność, bo niedochodzone roszczenia przedawniły się, zaś umowy, traktaty i konwencje podpisane w XX w. nie mogą mieć zastosowania, bo prawo nie może działać wstecz o 300 lat. Innymi słowy Ministerstwo Spraw Zagranicznych zasłoniło się brakiem podstaw prawnych, co nie może dziwić, gdyż zdrajcy z PO i PSL politykę zagraniczną prowadzili na kolanach. Dziś Polska stoi, dumnie prężąc pierś szeroką, a obca dłoń nie przekreśli rachunku krzywd. Zwłaszcza że

**Szwedzi, choć
za poprzedni potop
nie zapłacili jeszcze
rachunku, zgotowali nam
kolejny, dla polskości
o wiele groźniejszy.**

Słabi jak Monako

To, że kroi się replay potopu, stało się jasne, gdy szwedzki ambasador

bezwstydnie poparł Marsz Równości w Warszawie. Potem spłonęła tęcza na placu Zbawiciela. Szwedzki dyplomata, zamiast zrugać dewiantów za nie stosowność instalowania tęczy na placu pod patronatem Jezusa, w miejscu wywołanego ze szlachetnych pobudek pożaru złożył kwiaty. Był to ledwie wstęp...

W czerwcu 2019 r. pan Tomasz, pracownik Ikei, w firmowym komunikatorze zacytował 2 fragmenty Starego Testamentu („Biada temu, przez którego przychodzą zgorzelenia, lepiej by mu było uwiązać kamień młyński u szyi i pograć go w głębokościach morskich”; „Ktokolwiek obcuje cielesnie z mężczyzną tak, jak się obcuje z kobietą, popełnia obrzydliwość. Obaj będą ukarani śmiercią”). Do cytatów dodał komentarz: „Akceptacja i promowanie homoseksualizmu i innych dewiacji to sianie zgorzelenia”. Ergo: przypomnieli oficjalnie stanowisko polskiego rządu w sprawie zbrodni.

Szwedzi wystraszyli się, że rządowo-katolicki pogląd na dewiacje rozprzestrzeni się i plan zmuszenia Polaków do nauczania onanizmu dzieci w wieku przedszkolnym spali na panewce, wywalili więc pana Tomasza z roboty. Zwolnienie współczesnego Polaka przez tęczowych Szwedów za cytowanie przedpotopowych Żydów doprowadziło polskich patriotów do ostateczności. Zażądali od rządu wywalenia z Polski wszystkich firm propagujących pedalstwo („Niech spierdalają razem ze swoimi zachodnimi ideologiami, tu jest Polska!”), a nawet interwencji zbrojnej („Należy pilnie wysłać polskich żołnierzy do Szwecji i urządzić im polski potop, Szwedzi innego języka nie rozumieją, a dziś są słabi jak Monako. Świat tylko powrzeszczy na forum ONZ, ale nie kiwnie paluszkami”).

Rząd nie posłuchał. Prawdziwi Polacy zarządzili bojkot Ikei, ale akcja zakończyła się umiarkowanym sukcesem: dochody producenta mebli wzrosły. To Szwedów rozzuchwaliło.

Nie rzucim ziemi

Wkrótce pałeczkę od Ikei przejęła fabryka autobusów Volvo we Wrocławiu. Niepodejrzewający podstęp pracowników zakładu przybyli na stołówkę, by się pomodlić i posilić. Wznosząc modły, konsumują dary boże, rozprawiają o tradycyjnej rodzinie jako fundamencie normalności, a tu na ekranie nie leci komunikat: „Społeczność LGBTQ+ w Volvo, V-eagle. Chcesz dołączyć jako członek lub sojusznik? Prześlij maila, podając swoje imię, kraj i dział, w którym pracujesz. Różnorodność to siła i piękno!”. Jadło stało w polskich gardłach, modlitwy ucichły, lzy pociekły po ogorzałych policach, ktoś zaintonował: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród”. Z odsieczą zgnębionym pospieszyla Solidarność 80 („Pracodawca nie może promować mniejszości czy większości seksualnych”) i „Solidarność” („Propaganda LGBT wchodzi do zakładów pracy, musimy się bronić”).

**Polscy patrioci ogłosili,
że największą hańbą
dla Polaka jest przyjazd
samochodem marki Volvo
do Ikei, i wezwali naród,
aby nie kupował
szwedzkich aut.**

Szwedzi zaprzestali emisji komunikatu zachęcającego oeski do masturbacji. Ale w fabrykach Volvo, w tym we wrocławskiej, wciąż działa V-eagle, stowarzyszenie skupiające pracowników dewiantów. Czyli znowu Szwedzi zagrali Polakom na nosie.

Czas powiedzieć gromkie „Nie!” i wykorzystać potencjał polskiej armii.

Skarby przywlecziemy

Jeśli PiS chce dowiedzieć, że zdolne jest nie tylko do wymachiwania szablą, musi dać Szwedom ultima-

tum: albo w ciągu tygodnia przeleją Polsce kapuchę ryczałtem za 2 potopy – ten z 1655 i obecny tęczowy – albo nasze wojska za pomocą elektromobilnych amfibii przeprawią się przez Bałtyk. Szwecja należy do UE, ale nie do NATO, armię ma 3 razy mniejszą od naszej i słabiej uzbrojoną, a na dodatek zdeprawowaną i pozbawioną morale. Polscy mudżahedini w ciągu doby zdobędą Sztokholm i odbiją marniejące tam lwy, zrabowane przed 364 laty w Warszawie, sprawiedliwości dziejowej stanie się zadość, a polskim dzieciom już nikt poza księżmi nie wsadzi ideologicznej ręki w majtki.

Islamscy imigranci mogliby te plany pokrzyżować, bo w Szwecji jest ich wielu, a na polu walki wykazują prawie tak wielką odwagę, jak nasze orły, lecz raczej zdeprawowanym Skandynawom nie pomogą, bo na ideologię LGBT patrzą z równie wielkim obrzydzeniem, jak Polacy. Najbardziej prawdopodobna wersja: zostaną naszymi sojusznikami, bo wyznawcom Allacha także leży na sercu przyszłość cywilizacji opartej na wartościach.

Na sforsowaniu Bałtyku głupio byłoby kończyć krucjatę, Drang nach Norden to nie wszystko, na co nas stać, łupili nas przecież Niemcy, Turcy, Mongołowie, Austriacy, Czesi, Francuzi, Ukraińcy, Litwini, a w czasach imperium rzymskiego Włosi, czego w obliczu pustki w budżecie płazem puszczać nie warto. Możliwości są dwie: albo ciemniejszyciele zapłacą, albo co nam obca przemoc wzięta, szablą odbierzemy i nie tylko z ziemi włoskiej skarby przywlecziemy. Jeszcze Polska nie zginęła, Ikeę pomścimy, Volvo podpalimy!

Ku rozwadze: Mateusz Morawiecki w trakcie *expose* o reperacjach wojennych od Szwecji nawet nie pisał, choć przemawiał równo 364 lata od rozpoczęcia cudownej obrony Częstochowy. □

mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl





Zło małe jak Duda



wych ustaw. Przepadłby podpis Belwederu pod ważnymi nominacjami.

Już dziś stopniowe wypłukiwanie wodzowi władzy musi być dla niego trudne do znoszenia.

Kaczyński ma silne poczucie swojej misji wobec narodu, państwa, przeszłości, przyszłości, rodzin, Kościoła. Uważa się za dobroczyńcę. Utrata pełnej władzy oznaczałaby przekreślenie tych jego wyobrażeń, a dla ekipy reżimu niosłaby upokorzenia osobiste, w tym procesy przed sądami i martwym dotychczas Trybunałem Stanu.

Mnożyć można powody, dla których utrata władzy byłaby dla rządzących pożarem, powodzią i trzęsieniem ziemi zarazem. Dość wspomnieć, że w spółkach skarbu państwa i na urzędach żywią się dziesiątki tysięcy ich beneficjentów.

Utrwalenie siłą władzy PiS Stany Zjednoczone przełkną bez większych grymasów, Unia Europejska wzburzy się, ale Polski nie wyrzuci, bojąc się, że byłby to początek rozkładu wspólnoty. Rosja złoży przyjazne oferty i będzie czekać co dalej. Papież Franciszek, jak to papież, rozwinie swoje bezradne piękności. Jeśli nie od razu, to po pewnym czasie wszyscy pogodzą się z tym, że z Polski uszły nawet pozory demokracji. Wewnątrz kraju sprzeciw wobec zamachu stanu PiS będzie miał dużą moc, ale tylko chwilową. Siła sprzeciwu nie będzie aż tak duża, żeby pucz przegrał. Potem ludność oswoi się z sytuacją, jak to bywało z każdą z nich w przeszłości.

Za przewrotem pójść represje zgniatające przeciwników PiS, w tym manifestującą przeciw niemu młodzież. Nie będą one krwawe, przeciwnie – dobrotliwe, ale skuteczne. Po jakimś czasie Kaczyński ujmie przeciwników amnestią i gloszonym pojednaniem.

To, przed czym przestrzegam, może się zdarzyć, ale nie musi. Wystarczy powtórnie wybrać na prezydenta nieszczęsnego Dudę. □

sekr@redakcja.nie.com.pl

▶ Ostatni tydzień potwierdził, że żyjemy w państwie bezprawia, które udaje praworządność. Przykład pierwszy: „Gazeta Wyborcza” ujawniła, że prokuratura, dwa dni przed wyborami odmawiając wszczęcia śledztwa w sprawie „dwóch wież” Kaczyńskiego, posłużyła się jego zeznaniami złożonymi w innej sprawie. Prokurator Renacie Śpiewak (zapamiętajcie to nazwisko) wydawało się, że w ten sposób zachowa pozory działania zgodnego z prawem i dopełni obowiązku przesłuchania Kaczyńskiego.

▶ Przykład drugi: Ziobro, pisowski minister sprawiedliwości i Prokurator Generalny, odwołał delegację sędziego Pawła Juszczyszyna (też zapamiętajcie jego nazwisko, choć z zupełnie innego powodu) do Sądu Okręgowego w Olsztynie. Ta degradacja, czyli powrót do orzekania w sądzie niższej instancji, jest karą za to, że sędzia Juszczyszyn podczas prowadzonego przez siebie procesu zażądał ujawnienia przez marszałka Sejmu tzw. list poparcia do Krajowej Rady Sądownictwa. Wcześniej nakaz ujawnienia list orzekł Naczelny Sąd Administracyjny, a Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej nakazał polskim władzom (a zatem i sędziom) badanie zgodności polskiego prawa z normami europejskimi. Sędzia Juszczyszyn to uczynił i Ziobro go ukarał. Za zdevastowanie polskiego sądownictwa to Ziobro zostanie ukarany: „Nadejdzie jednak dzień zapłaty, sędziami będziemy wtedy my!”.

▶ Przykład trzeci: Po dwóch latach Prokuratura Okręgowa w Katowicach umorzyła śledztwo w sprawie powieszenia wizerunków europosłów z Platformy Obywatelskiej na symbolicznych szubienicach. Ziobrowa prokuratura nie dopatrzyła się w tym znamion popełnienia przestępstwa przez członków Ruchu Narodowego i Młodzieży Wszechpolskiej. Dopatrzyła się za to „symbolicznego charakteru” happeningu nawiązującego do „historycznych wydarzeń z XVIII w., utrwalonych na obrazie Jana Piotra Norblina” (chodzi o konfederację targowicką). Znawca historii i sztuki z katowickiej prokuratury może teraz liczyć na awans.

▶ W Prokuraturze Regionalnej w Białymstoku został przesłuchany w charakterze świadka poseł Jan Grabiec z Koalicji Obywatelskiej, która złożyła zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez Banasia, prezesa Naczelnej Izby Kontroli. Domniemane przestępstwo miało polegać na zaniżaniu podatków. Idziemy o każdy zakład, że białostocka prokuratura pójdzie w ślady albo prokurator Śpiewak (odmówi wszczęcia śledztwa), albo prokuratury z Katowic (po wszczęciu umorzy śledztwo).

▶ Senat, w którym większość ma opozycja, zaprosił Banasia na posiedzenie komisji samorządu terytorialnego i administracji państwowej. Senatorowie chcą go zapytać m.in. o źródła pochodzenia jego majątku. Żadne prawo nie zobowiązuje Banasia do przyjęcia zaproszenia. Skoro tak, to go nie przyjmie.

▶ Podczas głosowania na kandydatów do KRS – wszyscy co do jednego to posłowie PiS – Witek (kobieta, marszałka Sejmu) anulowała wyniki, chociaż takiej czynności nie ma w regulaminie Sejmu. Pochwalił ją za to Kaczyński w wywiadzie dla „Gazety Polskiej”, dodając: „Opozycja próbowała z tego zrobić aferę, a tak naprawdę nie stało się nic nadzwyczajnego. Powiem więcej – było to zdarzenie incydentalne, bez żadnego znaczenia”. Witek i Kaczyński też doczekają się dnia zapłaty...

▶ Zgromadzenia sędziów z Poznania, Gdańska, Wrocławia i Białegostoku odmawiają wydawania opinii na temat kandydatów na nowych sędziów, czego wymaga KRS. Odmowę spowodował ostatni wyrok TSUE i wątpliwości co do niezależności KRS. Znosi się na to, że lista sędziów niemających przyjemności współpracy z powołaną przez pisowców neo-KRS będzie dłuższa.

▶ Pisowska większość sejmowa wybrała trzech swoich sędziów Trybunału Konstytucyjnego: Pawłowicz, Piotrowicz i niejakiego Stelinę, pisowskiego prawnika, byłego dziekana Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego. Niektórzy komentatorzy zastanawiają się nad tym, czy Duda zaprzysięgnie troje pisowskich sędziów. My się nie zastanawiamy, my wiemy: zaprzysięgnie. Nie wiemy tylko, czy po południu, czy jak zwykle w nocy.

▶ Katarzyna Lubnauer zrezygnowała z funkcji przewodniczącej Nowoczesnej, uzasadniając decyzję „poczuciem odpowiedzialności za wynik wyborczy”. Nowym liderem partii został poseł Adam Szłapka. Grzegorz Schetyna ufał, że aluzyjnych słów Lubnauerowej nie zrozumiał i ze stanowiska lidera Platformy nie zrezygnował.

▶ Sondażownia IBRiS zapytała elektorat o sympatie prezydenckie. Wyborcy wolą Małgorzatę Kidawę-Błońską od Jacka Jaśkowiaka na kandydata KO i Adriana Zandberga od Roberta Biedronia na kandydata lewicy. Według wyników sondażu Instytutu Badań Pollster do drugiej tury przejdą Kidawa-Błońska i Duda. Duda wygra 53 do 47 proc. Nadzieję na zmianę tego niekorzystnego dla opozycji wyniku daje spora liczba niezdecydowanych, a to, co pisowcy wyprawiają z praworządnością, Dudzie raczej nie pomaga.

Gdyby w maju 2020 r. opozycja odebrała Dudzie prezydenturę, byłoby to niebezpieczne. PiS mogłoby przewrócić stół, przy którym toczy się gra polityczna. Wyobraźnia podsuwa mi Macierewicza, któremu Kaczyński zaleca wprowadzenie stanu wojennego. Możliwa jest też inna forma przewrotu. Dał nam przykład Erdoğan, prezydent Turcji, który próbę wojskowego zamachu stanu wykrzesał do zlikwidowania demokracji i zniewolenia opozycji. W Polsce nie jest trudno stworzyć jakiś do tego pretekst. PiS może sprowokować konfederatów do próby przewrotu. Wykorzystać jakąś strzelaninę o dowolnym podłożu. Wykręcić siatkę rosyjskich szpiegów złożoną z antypisowskich polityków. Kamiński byłby tu nieoceniony. Może też posłużyć jako pretekst do puczu strzelanina wywołana np. na granicy z Kaliningradem. Raczej wystarczą jednak manifestacje niezadowolonych na jakimkolwiek tle, wywo-

lujące strzały policji w tłum. Albo rządowa limuzyna miażdżąca wycieczkę szkolną, jeśli wywoła to demonstracje uliczne przetkane prowokatorami prowadzącymi tłum do magazynów z bronią. Możliwy jest też inny niewyswiewiechany nigdzie scenariusz zdarzeń prowadzących do rozpędzenia parlamentu, zawieszenia praw obywatelskich i ustanowienia medialnego monopolu TVP i „Gazety Polskiej”. Na ulicach pojawiłyby się oddziały wojsk terytorialnych wspierane przez turbopatriotyczną część zawodowej armii Błaszczaka.

Istnieją powody, żeby się bać tego rodzaju zamachu stanu. Po wyborach parlamentarnych wali się wcześniejsze jedynowładztwo prezesa PiS. Przejawy tego są codziennie przedstawiane publiczności. Gdyby wyborcy utracili prezydenturę Dudy, rządząca koalicja, i tak już nie monolityczna, byłaby w stanie zaledwie administrować krajem. Straciłaby moc skutecznego uchwalania no-



PRASA ŚNIADANIOWA

■ Portal **Frona.pl** poinformował, że w Polsce jest mało gwałtów w porównaniu do Zachodu. To jest fantastyczna wiadomość, szczególnie dla ofiar.

■ **NBP** sprowadził do Polski z Londynu 100 ton złota. I ten ciężar asystentki prezesa Glapińskiego muszą teraz dźwigać.

■ **Krakowska szkoła** zorganizowała konkurs matematyczny, którego tematem przewodnim był Jan Paweł II. Pytanie: jeżeli papież jedzie z punktu A do punktu B, to w którym momencie spotka Mehmeta Ali Agcę?

■ **Premier Morawiecki** zapewnił, że osobiście wpłacił pieniądze na budowę Łuku Triumfalnego. I tak Tłuk sponsoruje Łuk.

■ We Wrocławiu zostanie wkrótce ukończona **kaplica na dworcu PKP**. Zaprawdę powiadam wam, po cięgu do Kuluszek odjedzie z peronu trzeciego.

■ Jak podały Wirtualnedia.pl, **fundacja Kai Godek** wyprosiła dziennikarkę Agory z konferencji. Le-piej by brzmiało: usunęła.

MARTA M.

ROBERT JARUGA

Dzisiejsza technologia pozwala nam w sposób bezpieczny wcielić się w inne niż nasze uosobienie. Grając w „Word of Tanks”, możemy przekonać się, jak to jest być dowódcą czołgu T-34 Januszem Gajosem. Microsoft dostarczył bardziej niż realistyczny „Airplane Flight Simulator 2019”, którym niczym muzułmanin z drewnianym nożem i Koranem w plecaku zaatakować możesz World Trade Center i przeżyć. Natomiast Kancelaria Prezydenta RP – co mało kto zauważył – wspomagала powstanie aplikacji wirtualnej rzeczywistości, dzięki której przywdziewając na głowę gogle VirtualReality (VR), poczuć się możemy jak Andrzej Duda we własnej osobie.

Aplikacja nie jest przesadnie zaawansowana. Dzięki inżynierii fotografii trójwymiarowej, nie wychodząc z domu, pozwala poruszać się po komnatach Pałacu Namiestnikowskiego w Warszawie w sposób równie rzeczywisty, jak robi to prezydent z kąta na kąt.

Nie mówcie, że nie interesuje was, jak to jest żyć w największym w Polsce lokalu mieszkalnym, mając na własny użytek ponad 2 tys. mkw. pokoi, korytarzy, sal balowych i balangowych, łazienek i sypialni. Wolną chatę, której wynajem na wolnym rynku kosztowałby 60 tys. zł miesięcznie.

Teraz dzięki prezydenckiej technologii możesz poczuć się przez chwilę, jakbyś sam urzędował w tym największym w swoim rodzaju obiekcie w Polsce, o wartości, według szacunków Kancelarii Prezydenta, 225 mln 926 tys. 942 zł i 59 groszy, bo tyle zadeklarowano w celu ubezpieczenia Pałacu Prezydenckiego.

Andrzej Duda, jak sam o sobie mawia, nie jest abstynentem. To zresztą nie pozostawia wątpliwości, gdy słucha się go mówiącego na trzęswo. Aby się więc do niego upodobnić oraz wejść w nieznane nam środowisko Pałacu Namiestnikowskiego na większym luzie, zmagania rozpoczęliśmy po kilku szklankach koniaku wymieszanego z coca-cola, na razie tanią, zanim niebawem rząd obłoży ją podatkiem cukrowym.

Gdy myśli zaczęły układać się bez ładu i składu, rzec można przestały zachowywać porządek przyczynowo-skutkowy, czyli osiągnęły stan, gdy wkłada się smartfona do mikrofalówki z plastrem sera, aby uzyskać zapiekankę, nałożyliśmy na łeb wirtualne gogle. Siedząc na fotelu, machając swobodnie nogami, ruszyliśmy przez główne wejście do Pałacu Namiestnikowskiego.

Symulacja rozpoczyna się w nocy tuż przed drzwiami, zatem odczuwaliśmy dokuczliwe poczucie winy, podobne zapewne dręczącemu Dudę, gdy po popijawie z kolegami chwycić musi klamkę, instynktownie czując, że z drugiej strony stać może żona Agata, która nie dość, że przechodzi menopauzę, to być może rozjuszona jest jak osa.

Znaleźliśmy się w pałacowej Sieni Wielkiej jako sam prezydent by się znalazł. O nieee! Nieśmiertelności by brakło, aby przemierzyć to pomieszczenie, idąc na wprost. Podłoga połyskuje niczym tafla lodu, co wywołuje uzasadnione po-



dejżenia, że może się załamać. Nawet po kilku głębszych potrafimy jednak radzić sobie w trudnych sytuacjach. Szacujemy, iż bezpieczniej będzie się przemieszczać, trzymając się ścian, najlepiej z twarzą zwróconą do niej. To umniejszy zawroty głowy.

Ręka za ręką, noga za nogą ściana sama nas prowadzi do Sali Chorągwiej (też na parterze), w której w przeciwieństwie do Sieni Wielkiej



coś się jednak znajduje, mianowicie drągi, a na nich chorągwie. Chorągwi jest 6 wraz ze sztandarem „Solidarności”. Posadzka równie śliska, że można wywinąć orla. Zatem także trzymamy się ścian, które zostały zbudowane obok pięciu krzeseł pozwalających na zasłużony odpoczynek po pokonaniu kilkuset dzielących je kilometrów.

Być jak Andrzej D. i się nie porzygać.

Zwiedzanie Dudy

Zaryzykowaliśmy spojrzenie w sufit. Błąd. Ten nie przypomina niczego, co można w naturze zaobserwować. Jeżeli Duda spojrział tam choćby raz, wiedział, że na fleku robić tego nie należy, jeśli nie chce się wymiotować.

Sufit nie przypomina niczego, co można w naturze zaobserwować.



Najtrudniejsze dopiero przed nami. Reprezentacyjna Klatka Schodowa, pokryta czerwonym chodnikiem ze złotymi inskrypcjami w kształtach generalskich wężyków oraz znakami jako żywo przypominającymi, że istnieje pismo jawańskie. Spojrzenie na tę przeszkodę uświadamia, że lepiej nam byłoby iść polować na tygrysy.



Oblizujemy wargi językiem, co ułatwia zrozumienie, że rozsądnym rozwiązaniem jest upaść na kolana i próbować sforsować przeszkodę na czworakach. Pomysł okazuje się taki sobie. Wyczuwamy pod opuszkami palców męską niczym włosy na kłacie bosmana szorstkość czerwonego chodnika. Obrzydliwe to i frustrujące. Podobnie jak Duda, nie jesteśmy jeszcze aktywistami ruchu LGBT.

Pokonując pierwsze 14 stopni z prędkością 10 m/h, docieramy na półpiętro, gdzie należy nam się odpoczynek. Układamy się horyzontalnie twarzą... O Jezu!

Nad głową wiszą dwie tony szkła i elektryczności budzących grozę niczym wezwanie do zapłaty od Providenta. Przynajmniej 21 żarówek, bynajmniej nie energooszczędnych. Ciągnie to tyle prądu, ile elektrownia atomowa daje, co to ją Morawiecki buduje. Gdyby spadło – Bozia Wszechmogąca nie pomoże.



Pokonanie kolejnych dwudziestu stopni zawdzięczamy sile charakteru wspartej łomem racjonalnego myślenia, które podpowiadało, że łatwiej będzie się wznosić, mocniej zapierając lewą nogą. Teoria umysłu uprawomocnia przekonanie, że inni myślą tak jak my, zatem sam Duda na tym etapie nie zachowałby się inaczej. Robimy przerwę.

Za otwartymi drzwiami na pierwszym piętrze czeka nas Antyszambr. Cokolwiek to znaczy, brzmi intrygująco.

Jedynym meblem osobiwym a ciekawym jest tu pianino, będąc w naszym dyletanckim wy-



obrażeniu napędzane silnikiem od kosiarki, które gdybyśmy umieli uruchomić, chrząkałoby, bekało oraz ćwierkało niczym stado mew. Nie dotykaliśmy tego zwierza, podobnie jak prawdopodobnie nikt przed nami, bo pikowany stołek fortepianowy wygląda na zupełnie niepokalany pośladkami.

Nienadmiernie zaabsorbowani dotarliśmy do Sali Kolumnowej w kolorze pistacjowym, gdzie oprócz dywanu jest wielkie jak lotnisko nic.



Można by to przerobić na kurnik przemysłowy albo salę gimnastyczną. W każdym razie przemieszczanie się przez Salę Kolumnową jest jak podróż przez 4 strefy czasowe. Dochodząc do przeciwległego skraju, mieliśmy wrażenie, że żółądek jest jeszcze przy wejściu, a wątroba szykuje się już do wyjścia.

Brak planu sytuacyjnego spowodował, że nie chcący znaleźliśmy się znów na klatce schodowej, którą tym razem w ekspresowym tempie dzięki sile bezwładności stoczyliśmy się w dół. Tam zderzyliśmy się z białymi drzwiami, za którymi znajduje się najświętsze miejsce Pałacu Prezydenckiego. Tu prezydent Duda rozmawia z Bogiem. Kaplica Pałacowa.

Kaplica wyposażona jest w 4 kłęczniki. Można również posiedzieć na 43 krzesłach. Przed ołtarzem znajduje się wyryty w kamieniu napis, wielka tajemnica wiary, której mocy przeciętny człowiek pojąć nie zdoła: „Benedykt XVI Papież modlił się w tej kaplicy 25 maja 2006 razem z Prezydentem RP Lechem Kaczyńskim”. Ojojoi!



Korzystając z okazji, podobnie jak robi to Duda, zadaliśmy Bogu kilka pytań, m.in.: – Czym się różni od sterty opon; Czy siłą woli można powstrzymać perystaltykę jelit; oraz czy samobójstwo rozrachunkowe zastępujące sąd ostateczny może go obrazić. Bóg potraktował nas jak powietrze.

Wobec ostentacyjnego braku uwagi ze strony Najwyższego pomyśleliśmy, że nic tu po nas, kierując się ku kolejnym drzwom, za którymi znaleźliśmy się jak we śnie.

Pomieszczenie jest wesołe i smutne zarazem. Zabawne i dystygowane. Współczesne i tradycyjne. Pełne skomplikowanej prostoty nobilitującej zanizoną samoocenę. Granatowa niczym noc

posadzka, także ściany, a na nich transcendentne płamy immanencji. Trudno zrozumieć samego siebie przeżywającego takie przedziwne uczucia. Jest to wręcz niemożliwe bez wiedzy, że weszliśmy do Sali Jerzego Nowosielskiego, w której wiszą niektóre z najwybitniejszych obrazów mistrza, a przecież innych on nie malował.

Nowosielski oczywiście był geniuszem. Ci, co go znali, twierdzą, że był też tytanem pracy i alkoholikiem. Miał nadzwyczajną zdolność graficznego przedstawiania wielu doskonałości spraw-



dzonych do najmniejszego wspólnego mianownika. Zdaje się, że 10 z tych kwintesencji pędzla artysty widzieliśmy na ścianach u Dudy, ale nie możemy się pochwalić, że którąś zrozumieliśmy.

Opuściliśmy Nowosielskiego i dzięki błędowi w oprogramowaniu matriksa ponownie znaleźliśmy się w niezawierającej niczego poza powietrzem Sieni Wielkiej.

Nie chcielibyśmy zanudzać, ale z reporterskiego obowiązku musimy.

Odwiedziliśmy Sekretariat Prezydenta, w którym są biurko, monitor i nic więcej. Gabinet Prezydenta, w którym jest puste biurko i nic. Kancelarię Prezydentowej, w której stoi stół kancelaryjny i nic. Bibliotekę Prezydenta, w której stoją pozycje ambitne jak „Potop”, „Pan Tadeusz”, „Encyklopedia Britannica” i chyba też „Mały rocznik statystyczny”. Bardzo podobne nic znajduje się w Sali Białej. W Jadalni jest okrągły stół przykryty białym obrusem, co kojarzy się nieodparcie z zerem.



Przygoda z wirtualną wycieczką po Pałacu Prezydenckim, która dostępna jest dla każdego, nie bójmy się tego określenia, na całym świecie. Mogliby ją odbyć Putin i Trump, a nawet gubernator Jamajki Edward Zacca, gdyby jeszcze żył. Dom Dudy jest niejako ekspresją jego wnętrza oraz umysłowości (wszak takie są nasze mieszkania), a zarazem stanu państwowości, pozostawiając, oprócz wielu, jedno najsilniejsze wrażenie. Wrażenie pustki. Wszystkie przebyte pomieszczenia wyglądają, jak gdyby niczego tam nie było, panowało w nich zero bezwzględne, temperatura, w której zamiera ruch cząstek. Kubaturę Pałacu Namiestnikowskiego wypełnia przynębiający brak czegokolwiek. Pełno tu ludzi, których nie ma, myśli, które nie płyną, dziury ozonowej pozbawionej ozonu.

Wydaje nam się jednak groźne, że Duda wyrzucił sobie mieszkanie jak magazyn gotowy na przyjęcie towaru. Za prawdziwą klęskę poczytujemy, że na tę filozofię niczego oraz popęd do nicości prezydenta Dudy głosowało 8,6 miliona ludzi. Najwyraźniej się im to spodobało, gdyż dysponują podobnym systemem psychicznym.

Jeżeli aplikacja wirtualnego spaceru jest jedynie wersją beta, apelujemy do głowy państwa o większą kreatywność, np. Barack Obama obstałowując podobną dla Białego Domu wirtualną wycieczkę, zaordynował, że spacer obserwator ma przeżyć z perspektywy biegającego pierwszego psa Stanów Zjednoczonych, co wabił się Bo.

U nas mogłaby być to żaba, którą symulowałby Duda, pokonując pałac zabimi skokami z zestawem kamer sferycznych na głowie. Przydałby się też jakiś podkład muzyczny. Oczywiście nie część III Sonaty Chopina z marszem żałobnym, przychodzi nam do głowy „Der unterbrochene Gedanke” na kwartet smyczkowy Krzysztofa Pendereckiego albo „I’m like a bird” Nelly Furtado. □

Wirtualny spacer po Pałacu Prezydenckim odbyć można dzięki wizycie na witrynie <https://www.ai360.pl/panorama/787>, wspomagając się np. okularami Samsunga.

Premier ogłosił na facebookowym czacie: „Jestem zwolennikiem tego, żeby wybudować jak najszybciej łuk triumfalny. Sam oczywiście wpłaciłem środki na fundację, która zbiera pieniądze na łuk triumfalny, bo uważam, że łuk triumfalny ku czci bitwy warszawskiej byłby godnym upamiętnieniem”. I dodał: „Obiecuję, on stanie w krótkim czasie”.

Stań bokiem do celu

Jedynym czymś, co szmal na łuk ma mieć jest Fundacja Towarzystwo Patriotyczne. Jej założycielem jest Jan Pietrzak. Facet, który przez dziesiątki lat zarabiał na życie mówieniem śmiesznych rzeczy. I to mu nie przeszło. Jego najnowszy dowcip brzmi: „Łuk triumfalny jest potrzebny Polsce, niezbędny dla Polaków. Gdy inne narody europejskie upamiętniały swoich królów, wielkie bitwy, Polacy tego zrobić nie mogli, bo byli okupowani. Reprezentantem okupantów są ci panowie, którzy wygadują takie durne argumenty przeciwko łukowi triumfalnemu”.

Tym tekstem Pietrzak posługuje się od ponad dwóch lat. Po wpłacie Morawieckiego widać, że z sukcesem.

Pietrzak wie, że satyra, żeby się dobrze sprzedawać, oprócz słowa musi mieć odpowiednią scenografię. Tę zapewnia mu architekt Marek Skrzyński.

„Wysoki może być na 150 m, pan Jan Pietrzak sugeruje nawet 200 m. Rozpiętość między pylonami to 50 m. Pan Jan traktuje moją wizję na rzecze jako ostateczne rozwiązanie, kiedy nie będzie współpracy miasta, dla mnie to jednak najpiękniejszy plac budowy” – rozpyływa się nad hydrobudowlaną wizją Skrzyńskiego.

„Proponujemy wizję Marka Skrzyńskiego, bo ona również załatwia sprawę działki pod jego budowę. Wisła podlega Ministerstwu Środowiska, a niestety władz Warszawy nie obchodzi pomnik Warszawy i będzie problem ze zgodami pod budowę” – brzmi najnowszy monolog Pietrzaka. Zbieranie pieniędzy na łuk jest przedsięwzięciem równie perspektywicznym, jak kościelna kwesta na niekończącą się budowę Świątyni Opatrzności Bożej. „Nie chodzi przecież o to, żeby mieć ryny, ale żeby na nie zbierać” – jak tłumaczył Więckiewicz Joannie Kulig w „Klerze”.

Chwyć cięciwę palcami

Wydaje się, że po nagłośnieniu akcji przez Morawieckiego chętnych do dawania na łuk nie braknie. Skoro tak, to natychmiast pojawia się konkurencja dla fundacji Pietrzaka. Choćby w osobie Cezarego Kaźmierczaka, prezesa Związku Przedsiębiorców i Pracodawców. Kaźmierczak zadeklarował, że niezbędną do wysta-

Łuk najwyżej brwiowy

Łuczniactwo dla początkujących.

wienia łuku kasę „spokojnie zbierzemy. Podejmuję się zebrać”.

Jak przekonuje scenograf Pietrzaka, pomnik nie byłby tylko do podziwiania. „Będzie to fantastyczne miejsce do rodzinnych spacerów i atrakcja turystyczna. Z brzegu mogą być poprowadzone kładki do każdego z dwóch pylonów u podstawy łuku. Na górę będzie można wjechać panoramicznymi windami i zjechać na drugą stronę rzeki”.



Ponieważ Skrzyński zwizualizował swoją koncepcję, to mądrzy ludzie od przeliczania rysunków na pieniądze wzięli kalkulatory i wyszło im, że park linowy im. Bitwy Warszawskiej w nurcie rzeki kosztowałby *circa* pół miliarda złotych. Nawet dla Morawieckiego, który dysponuje pieniędzmi państwowych gigantów takich jak Energa, Enea, Tauron czy Orlen albo KGHM, to dużo pieniędzy.

Cięciwa ma dotknąć ust i nosa

Większym problemem może być coś, czego Pietrzak nie rozumie – prawo. To zaś stanowi, że co prawda „grunty pokryte wodami powierzch-

niowymi płynącymi, stanowią własność skarbu państwa”, ale to, co znad wody się wylania, nie może być samowolą budowlaną i wymaga zgód samorządu, na terenie którego rzeka płynie. Plan zagospodarowania przestrzennego nie przewiduje, że z wody wyłoni się coś, co przesłoni krajobraz Warszawy, zgody więc nie będzie.

W Warszawie tak właśnie jest. Wice-Trzaskowski nazwiskiem Rabiej ujął to na Twitterze tak: „Biorąc pod uwagę mitomanię i nieudolność Mateusza Morawieckiego, zakładam, że TO nie powstanie. Ale gdyby miało: Panie Premierze, Warszawa ma wiele potrzeb, Pana rząd ograbił nas z wielu potrzebnych inwestycji, proszę sfinansować obwodnicę albo Sinfonia Varsovia”.

Tyle że Rabiej, zanim zaczął robić sobie jaja z gigantomanią Morawieckiego, powinien najpierw zapoznać się z lipcową uchwałą Rady Warszawy, gdzie stoi jak byk, że stolica daje na budowę pomnika (łuku triumfalnego nie wykluczając) 3 mln zł. Konkurs był ogłoszony, a wyniki powinny być znane z początkiem przyszłego roku. O Sinfonii Varsovi lipcowa uchwała nie wspomina. Tak jak o tym, że 3 duże bańki to jedna czwarta kosztów zbudowania dużego przedszkola.

Płynnie puść strzałę

Gdyby farsę z obietnicami przez Morawieckiego łukiem szybko wyciszyć, to można mieć więcej niż pewność, że poza sporadycznymi wpłatami na konto fundacji Pietrzaka miliony budżetowych złotych na nikomu do niczego niepotrzebny monument wydane nie będą.

W najgorszym jednak razie można liczyć na stworzony przez PiS wentyl bezpieczeństwa. Nazywa się Jarosław Kaczyński i polega na tym, że gdy pisiaki narozrabiają, to prezes zrobi to, czego od niego oczekuje naród: sprowadzi rozrabiaków na ziemię. Tak przecież uratował aborcję czy krowy z Deszczna.

Nie inaczej będzie i tym razem, gdy swym strategicznym umysłem pochyli się nad niedolą ptactwa, które masowo będzie się rozbijało na pylonach i ramionach kilkusetmetrowego pomnika. A przecież nie ma siły, żeby na ten aspekt suweren nie zwrócił Kaczyńskiemu uwagi.

TADEUSZ JASIŃSKI

Premier Morawiecki obiecał w *exposé*, że Polska stanie się państwem dobrobytu. W tym celu w ramach programu „Mieszkanie plus” do 2020 r. zostanie wybudowanych 200 tys. mieszkań.

W odróżnieniu od Adriana Zandberga sądzę, że mieszkania mogą się wysypać jak maślaki po deszczu.

850 mieszkań

Zgoda, program „Mieszkanie plus” to kompromitacja PiS. Do podobnych wniosków, co pierwszy mózg polskiej lewicy, doszliśmy 2 lata temu. „Lepiej kupić albo wynająć mieszkanie na wolnym rynku. Znacznie prościej, a może nawet taniej” – pisałam w grudniu 2017 r. Przypominałam, że w Polsce wciąż funkcjonują Towarzystwa Budownictwa Społecznego budujące w systemie *non profit*, posługujące się czytelniejszymi kryteriami dochodowymi.

W odróżnieniu od TBS PiS deklaroowało, że pomoże wszystkim. O własny kąt ubiegać się mogli nawet banksterzy. Proszę, niech składają podania, ojczyzna tak samo traktuje wszystkie dzieci. Ale to nie będzie darmo. Musi być „rozsądny zysk”.

W minionej kadencji planowano postawić 100 tys. mieszkań. Udało się dać klucze 850 rodzinom w Białej Podlaskiej, Kępicach, Kępnie, Jarocinie i Wałbrzychu.

Zainteresowanie było olbrzymie, np. w Białej Podlaskiej złożono 1400 wniosków. Oprócz miejscowych zgłosili się ludzie z Bydgoszczy, Warszawy, Gdańska, Irlandii, Niemiec. Wykończono 186 lokali. Prawie połowa rodzin nie była w stanie utrzymać swego kąta bez dopłat. Zaczęły się emocje. Ktoś doczytał, że wystarczy przez 3 miesiące nie płacić czynszu i na bruk... Bez wyroku sądu, bez mieszkania zastępczego. Bo najemca

Barakoludzie

plus podpisuje przed zasiedleniem stosowne zobowiązanie.

Trwają roboty w Dębicy, Gdyni, Katowicach, Mińsku Mazowieckim i Świdniku. Jeśli założycy, że inwestycje zostaną zakończone, kąt dostanie kolejne 1100 rodzin.

W Warszawie czy Krakowie mieszkania są „w fazie projektowania”. Podobnie jest w Częstochowie, Gdyni czy Zamościu. W sumie „w planach” jest 18 tys. mieszkań, w których dawno powinni żyć szczęśliwi wyborcy PiS. W województwie podlaskim, głosującym na Kaczyńskiego bez oglądania się na realia, nie ma ani jednej inwestycji. Nawet planowanej. Podobnie w popegeerowskim województwie warmińsko-mazurskim.

Getta wykluczonych

Pamiętacie, jak w 2011 r. w Poznaniu powstało osiedle kontenerowe? 10 blaszaków dla biedoty, która nie jest w stanie płacić czynszu albo hałasuje w nocy. Tanio, tylko 35 tys. zł za pudełko. Owszem, skromnie. Ale podłączono elektryczność, ogrzewanie, prąd, wodociąg i kanalizację.

Rozwiązanie spotkało się z zrozumiałą niechęcią potencjalnych mieszkańców. Jak to? Żyjąc w normalnej komunale, można wygenerować dług o milionowej wartości i nic. Pamięta o tym tylko administracja. Sam zainteresowany nie, bo wszystko jest, jak było. W kontenerach łatwiej zakręcić kurki. I jaki będzie adres? Barak nr 1, barak nr 2? Jak w Oświęcimiu? Obciach. Widać na pierwszy rzut oka: tu mieszkają menele.

Poznań stał się przedmiotem ogólnego hejtu. Zgodnie krzyczeli artyści, na-

ukowcy i politycy, że w Polsce nie wolno piętnować ludzi, którym powinna się noga, stygmatyzować ich dzieci, tworzyć gett. W 2016 r., gdy Polską rządziło już PiS mamiące „Mieszkaniem plus”, zdecydowano o likwidacji osiedla.

Jak się nie ma, co się lubi

Zapewnienie ludziom dachu nad głową to zadanie własne gmin. Do każdej wpływają wciąż nowe wnioski o mieszkania socjalne czy komunalne, a tych brakuje.

Wśród lokatorów nie ma mody przeprowadzania się na swoje. Za to mnóstwo rodzin nie płaci czynszu. „500 plus” nie wpłynęło na statystyki. Przecież za dodatkową kasę lepiej kupić samochód. W skali kraju zadłużenie najemców lokali wynosi 4,5 mld zł. Np. w Bytomiu rekordzista ma 420 tys. zł długu.

Krosno zaczęło stawiać kontenery w 2016 r. Dostało 35 proc. dofinansowania, powstało więc całe osiedle. W planach budowa kolejnych mieszkań. Podobnie jest w Rędzinie pod Częstochową. Gmina Łobżenica zafundowała pierwszy kontener dla 7-osobowej rodziny. Jeśli rozwiązanie się sprawdzi, będą kolejne. W Puławach urządzono zakupić 4 kontenery...

Na razie blaszaki to straszak dla trudnych lokatorów. Media montowane są tak, że jeśli najemca nie zapłaci zaległego rachunku, automatycznie zakręca się kurki z prądem i ciepłem.

Nowe otwarcie

Mniej mieszkań niż Polska ma w Unii Europejskiej jedynie Słowa-

cja: 360 na 1000 mieszkańców. Polska 363. Aby dogonić unijną średnią, potrzebujemy 4–5 mln mieszkań.

Dyskusja na forum młodych ludzi, którzy chcieliby mieć własny kąt, a wciąż kotwiczą w dziecięcym pokoju:

„Mieszkam z rodzicami i mam tego dość, a nie stać mnie nawet na kawalerkę. Ostatnio byłem u znajomego, który wynajął kontener mieszkaniowy i w środku nie różni się niczym w swej użyteczności. Tylko na zewnątrz tandeta. Poszperałem i wychodzi na to, że kupując takie coś na własność, miałbym 100-metrowy kąt za ok. 80 tys. zł”.

„Noooo, bardzo ciekawe, ale jak to wygląda z gruntem, na którym to stoi?”.

„Można zadekować u rodziców na podwórku. Nie jest źle, byłem w Niemczech na truskawkach, to w takim mieszkale”.

Firma produkująca kontenery: „Czy mają Państwo jeszcze pytania? Nasi specjaliści służą Państwu pomocą! Chętnie doradzimy Państwu telefonicznie, na miejscu, przez e-mail... Już dzisiaj możecie Państwo otrzymać niezobowiązującą ofertę...”.

Dowiaduję się, że własny dom w kilka tygodni jest w Polsce możliwy. Nie trzeba płacić gotówką. Można wziąć w leasing. Gdy się nie spodoba albo znudzi lub przyjdzie wymienić na większy, można odsprzedać. Prężnie rozwija się rynek wtórny. Dom nie musi wyglądać jak pudło. Są kontenery z tarasami, schodami wewnętrznymi. A także unikatowy wygląd zewnętrzny z zamontowanym daszkiem lub attyką. Jest możliwość przeszklenia całej ściany oraz zamontowania krat w celu zwiększenia bezpieczeństwa. Indywidualna aranżacja wnętrza.

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

GDZIE WYROŚNIE WĄSIK

Tak jak przewidzieliśmy 2 tygodnie przed faktem Jarosław Zieliński pożegnał się z rządem, a jego miejsce na stanowisku sekretarza stanu w MSWiA zajął Maciej Wąsik, kumpel szefa resortu Mariusza Kamińskiego i jego wierny zastępca na stanowisku koordynatora ds. służb specjalnych. Wszystko wskazuje na to, że Wąsik zostanie pierwszym zastępcą „Maria”.

Zieliński stracił ukochane stanowisko nie tylko z powodu memotwórczych zachowań w postaci sypiącego się mu na głowę białoczerwonego konfetti z okazji 11 listopada w Augustowie, policjantów poprzebieranych za anioły czy mniej więcej cotygodniowych hucznych uroczystości z udziałem służb mundurowych pod byle pretekstem. W karierze zaszkodziła mu też była posłanka Platformy Obywatelskiej z Suwałk Bożena Kamińska, która sporządziła własny raport o sytuacji w mundurówce na Podlasiu, z którego Zieliński miał uczynić prywatny folwark.

Mariusz Kamiński, który zna już od Mariana Banasia ustalenia utajnionego raportu NIK na temat podlaskiego garnizonu policji, wcześniej mógł się zapoznać z opublikowanym 1 sierpnia raportem „Realizacja programu modernizacji Policji, Straży Granicznej, Państwowej Straży Pożarnej i Służby Ochrony Państwa w latach 2017–2020”.

Czytał go też niewątpliwie Jarosław Kaczyński, więc szybciotko, bo już 9 sierpnia Mateusz Morawiecki odebrał Zielińskiemu władzę nad policją, Strażą Graniczną i Służbą Ochrony Państwa. Jesienne wybory były za pasem, a opozycja ostrzyła sobie na Zielińskiego kły.

Według raportu NIK Zieliński co najmniej od stycznia miał czas na uporządkowanie kilku istotnych spraw: „zahamowania ucieczki funkcjonariuszy z podległych mu służb” oraz wyegzekwowania „od komendantów podległych formacji przedstawienia mierników, które umożliwiłyby dokonanie oceny wpływu poniesionych wydatków na poprawę bezpieczeństwa publicznego i ochronę obywateli oraz poprawę konkurencyjności uposażeń funkcjonariuszy i wynagrodzeń pracowników na rynku pracy”. NIK doceniła więc zwiększające się nakłady na mundurówkę, ale

chciała wiedzieć, czy np. nowocześniejsze pały w rękach funkcjonariuszy dają widoczny efekt w postaci zwiększonego strachu przed popełnianiem przestępstw przez ludzi, którym pały lądują na plecach.

Zieliński o tym w ogóle nie myślał, tylko chwalił się otwieraniem nowych posterunków na każdym zadupiu lub kolejnymi ślubowaniami kilkudziesięciu przyjmowanych do służb funkcjonariuszy.

Spory udział w tym politycznym marketingu miał generał Daniel Kołnierowicz, szef Komendy Wojewódzkiej Policji w Białymstoku, ulubieniec Zielińskiego, szykowany przezeń na stanowisko komendanta głównego policji w miejsce generała Jarosława Szymczyka.

WJK

Polak nie do odróżnienia

Przez zaniedbania Ministerstwa Obrony Narodowej polska armia w czasie wojny będzie ostrzeliwana nie tylko przez wrogów, ale przez sojuszników!

Wyobraźmy sobie taką oto sytuację: ojczyzna J.P.2 zostaje zaatakowana z morza, powietrza i lądu. Państwa NATO wysyłają z odsieczą okręty, samoloty i śmigłowce. Polska armia nie potrafi jednak odróżnić maszyn agresora od sojuszników. NATO nie odróżnia maszyn polskich od wrogich. Polska obrona przeciwlotnicza ostrzeliwuje samoloty amerykańskie, brytyjskie i francuskie. Z okrętów wojennych Wujka Sama zostają odpalone pociski w kierunku polskich stacji radarowych i wyrzutni rakietowych. Samoloty NATO atakują polskie okręty na Bałtyku. To nie sen pijanego wariata, ale realne zagrożenie!

Może być też tak (co bardziej prawdopodobne), że NATO oleje Kaczyńskiego i spółkę oraz zobowiązania sojusznicze. Nie ruszy nam z pomocą, widząc, że nad Wisłą rządzi idioci. Po co przelewać krew za naród, którego przywódcy nie wyciągają wniosków z licznych tragedii, uważając, „że jakoś to będzie”?

System identyfikacji radiolokacyjnej „swój-obcy” IFF (Identification Friend or Foe) wykorzystuje się w celu

rozróżnienia sił własnych od sił przeciwnika. Odgrywa on decydującą rolę w czasie działań bojowych i zaliczany jest do kategorii spraw o najwyższym stopniu tajności, których zdradzenie może całkowicie zdezorganizować nawet najlepszy system obronny.

...

Każdy samolot, okręt, śmigłowiec, radar, wyrzutnia rakietowa wyposażone są w system IFF. Działa on według zasady „zapytanie–odpowiedź”, a jego głównymi elementami są interogatory (urządzenia zapytujące) i transpondery (urządzenia odpowiadające). Aby nikt nie podszył się pod własne siły, wprowadzono metody zabezpieczenia wysyłanych sygnałów, które w zależności od mocy kryptograficznej nazwano modami.

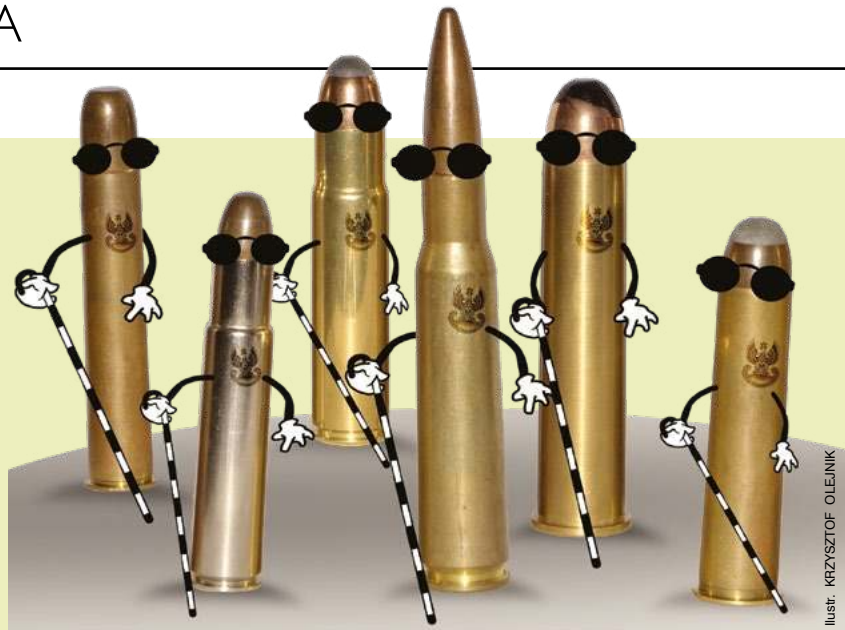
W lipcu 2020 r. armie państw NATO zastąpią przestarzały mod 4 (system IFF Mark XII) nowocześniejszym modelem 5 (system IFF Mark XIIA). O tym, że taka operacja nastąpi, wiedzano od kilkunastu lat. Był więc czas, aby się do tego odpowiednio przygotować. Państwa

NATO są już gotowe, aby przejść na nowy system IFF. Tylko nie Polska...

...

Za rządów PO–PSL w Ministerstwie Obrony Narodowej opracowano harmonogram wymiany sprzętu i rozpoczęto prace badawczo-rozwojowe. Założono bowiem, że nie będziemy kupować systemu IFF za granicą, ale dostarczą go rodzime firmy zbrojeniowe. Gdy PiS doszło do władzy, wstrzymano wszelkie projekty modernizacyjne. Ówczesny szef MON Antoni Macierewicz zajęty był bowiem oskarżaniem poprzedników o zdradę, pozbywaniem się z wojska doświadczonych kadry dowódczej, obsadzaniem spółek zbrojeniowych niekompetentnymi kolesiami, tworzeniem wojsk obrony terytorialnej i celebrowaniem świąt narodo-patriotycznych.

Dopiero niedawno ktoś w MON przypomniał sobie, że trzeba przeprowadzić wymianę systemu IFF. Naprawdę kupiono kilkanaście transponderów do samolotów Mig od koncernu BAE Systems. Fiaskiem natomiast zakończyły się 2-letnie starania doty-



czące zakupu jedenastu transponderów dla Marynarki Wojennej, gdyż Inspektorat Uzbrojenia z niejasnych przyczyn unieważnił przetarg.

...

O kant dupy należy potłuc zapewnienia szefa MON Mariusza Błaszczaka, że „to dzięki rządowi Prawa i Sprawiedliwości, dzięki rządowi pana premiera Mateusza Morawieckiego zamówienia wojskowe są kierowane do zakładów produkujących w Polsce”. Należąca do Polskiej Grupy Zbrojeniowej spółka PIT-Radwar mogłaby wyposażać armię w interogatory i transpondery spełniające wymagania najnowszego systemu IFF. Jednak pisowska władza uznała, że system ten nie jest „podstawowym interesem bezpieczeństwa państwa” (a wtedy można byłoby zlecić bez prze-

prowadzania przetargu wykonanie go Radwarowi – przyp. A.S.) i da zarobić zagranicznym firmom zbrojeniowym.

Specjaliści, z którymi rozmawiałem, twierdzą, że przejście na nowy system identyfikacji radiolokacyjnej zajmie polskiej armii nawet 10 lat. Przez ten czas siły zbrojne będą ślepe i głuche. Marnym pocieszeniem jest to, że zdolność bojowa jednostek jest niewielka, gdyż będące w służbie okręty, samoloty i śmigłowce nadają się bardziej do muzeum jako eksponaty, a nie na pole walki.

Tak wygląda wstawanie z kolan w wykonaniu PiS. Mamy do czynienia z niebywałym skandalem ocierającym się o sabotaż w wykonaniu Macierewicza i Błaszczaka, którzy niekompetencję i nieudolność maskują pseudopatriotycznymi frazesami.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

Po Szlápce też nikt nie zapłaci.

Nowoczesna mowa pogrzebowa

Gdy patrzę na partię o ambitnej nazwie Nowoczesna, przypomina mi się rosyjski dowcip z okresu słusznie minionego. Co to jest: robi kupę hałasu i nie kopie w dupę? Radziecka bezszelestna maszyna do kopania w dupę. Taka jest właśnie dzisiejsza funkcjonalność założonej przez Ryszarda Petru formacji, która ma już trzeciego szefa, choć na pierwszym powinno było się skończyć.

Nie sposób zaprzeczyć, że Katarzyna Lubnauer, podając się do dymisji, wykazała się bezprecedensową w polskiej klasie politycznej klasą. Sytuacja, w której politycy biorą polityczną odpowiedzialność za partyjne błędy lub niepowodzenia, jest u nas tak rzadka, że aż budzi podejrzenia. Złoty standard w ten mierze wyznaczył Bogdan Klich, gdy jako minister obrony nie uznał za stosowne wziąć na siebie odpowiedzialności za podległy mu 36. Pułk Lotniczy, który rozwalił prezydenta RP i 95 innych, przeważnie bardzo ważnych osób. I jest to standard konsekwentnie przestrzegany przez wszystkich polityków, którzy – niczym minister Jaszuński w „Karierze Nikosia Dyzmy” – wierzą głęboko, że „Polak nie podaje się do dymisji, Polak tkwi na posterunku”. Chlubny wyjątek Zbigniewa Cwiąkalskiego, który będąc profesorem prawa i wziętym adwokatem, decydował, że nie musi być ministrem sprawiedliwości, jest do dzisiaj jedynym znanym przykładem politycznej odpowiedzialności w Polsce XXI wieku, przywoływanym przy każdej okazji, gdy temat się pojawia. Oczekiwania wobec polityków są tak niskie, że nikt nawet nie spodziewał się dobrowolnej dymisji Elżbiety Witek przyłapaną na taśmie, jak odpowiada „dobrze” na polecenie: „Pani marszałek, trzeba anulować, bo my przegramy” – choć jako żywo taka sytuacja

oznaczałaby natychmiastową rezygnację polityka w każdym cywilizowanym kraju. Pryncypialna postawa Katarzyny Lubnauer, która zrezygnowała z przewodniczenia Nowoczesnej, „biorąc na siebie odpowiedzialność za porażkę w wyborach do Sejmu”, jest tym bardziej godna podziwu.

Co powiedziałszy, odnotować należy, że druga część jej wypowiedzi z konwencji, na której zrezygnowała z przewodniczenia partii, była całkiem pozbawiona sensu. Brzmiała otóż: „Nowoczesna jest Polsce potrzebna”.

Wyjaśnijmy jedną rzecz: Nowoczesna nigdy nie była potrzebna Polsce. Była potrzebna pewnej grupie obywateli, którzy zainwestowali w nią 9 mln zł z nadzieją na doprowadzenie do korzystnych dla siebie zmian. Gdy inwestycja okazała się nietrafiona, inwestorzy wycofali się z finansowania, zgodnie z zasadą minimalizacji strat – i w zasadzie to był moment, żeby partię rozwiązać. Wtedy jednak pojawiły się już inne czynniki: fakt istnienia klubu parlamentarnego, ambicje polityczne zasiadających w nim osób, z których nie wszystkie zdawały sobie zapewne sprawę, kto i do czego ich wynajął. Mam nieodparte wrażenie, że dla wielu z nich – w tym ustępującej przewodniczącej i jej następcy Adama Szłapki – pozostaje to nie całkiem jasne do dziś. Przypomnijmy zatem.

Nowoczesna u zarania miała wyraźny cel. Moim zdaniem wysoce szkodliwy, ale przynajmniej jasny: powstała jako wehikuł wpływów biznesu w polityce. Petru miał zapewne w tym scenariuszu odegrać rolę Ronalda Reagana, który stał się twarzą (bądź, jak mówią inni, marionetką) wielkiego biznesu, skutecznie i nieodwracalnie przebudowując model amerykańskiej gospodarki tak, aby bogaci stali się jeszcze bogatsi,

a biedni stosownie zbiednieli i porzucili głupie pomysły o redystrybucji dochodu narodowego i prawach pracowniczych. Wśród rozlicznych sukcesów reaganomiki jeden jest, moim zdaniem, szczególnie wymowny: gdy Reagan dochodził do władzy, stosunek zarobków prezesów do pensji zwykłych pracowników wynosił 50:1. Dziś wynosi 278:1. Dochody prezesów wzrosły w tym czasie o 1007,5 proc., podczas gdy pracowników o 11,9 proc. Nikt nie zaprzeczy, że trzeciorzędny aktor, wynajęty przez General Electric jako „mówca motywacyjny”, spełnił pokładane w nim nadzieje.

I to zasadniczo różni go od Petru. Petru, znany z noszenia teczki za Balcerowiczem w latach 90. XX w. i wiernej służby neoliberalnym dogmatom w czasie późniejszym, miał być gwarantem, że Nowoczesna będzie partią działającą na koszt wielu w interesie niewielu. Plan był jasno sprecyzowany i zawierał nawet stosowne dla tego typu długofalowej operacji elementy konspiracyj. Na początku 2016 r., gdy nowo wybrana do Sejmu Nowoczesna miała notowania rzędu 30 proc. i zdarzało jej się wyprzedzać PiS, a Petru głosił skromnie, że „za 3,5 roku chce być premierem” – ówczesna rzeczniczka Kamila Gasiuk-Pihowicz, pytała o program partii, odpowiadała, że „już nad nim pracują”. Tymczasem praca została dawno wykonana. Jej efekty uwidocznione były w datowanym na lipiec 2015 r. 40-stronnicowym dokumencie „Kierunki programu”.

Nowoczesna obiecywała podatek liniowy PIT, CIT i VAT na poziomie 16 proc., prywatyzację służby zdrowia, pomocy społecznej i pośrednictwa pracy, likwidację praw pracowniczych, kastrację związków zawodowych, sprzedaż kopalni i uzależnienie partii politycznych od finansowania przez bogatych obywateli metodą złotówek

za złotówkę (każda kwota wpłacona na fundusz partii przez sponsora miała być podwojona przez budżet). Na realizację tych celów partia otrzymała ponad 9 mln zł – „darowizn od osób fizycznych”. Lista darczyńców jest oczywiście tajna, ale przecież nie byli to górnicy i nauczycielki ani ochroniarze i kurierzy pracujący za 3 zł na godzinę na umowach śmieciowych. A przynajmniej nie bezpośrednio – jedną z twarzy partii u jej zarania był Rafał Brzóska, który dorobił się 600 mln zł na firmie InPost, znanej z zatrudniania kurierów na umowach śmieciowych.

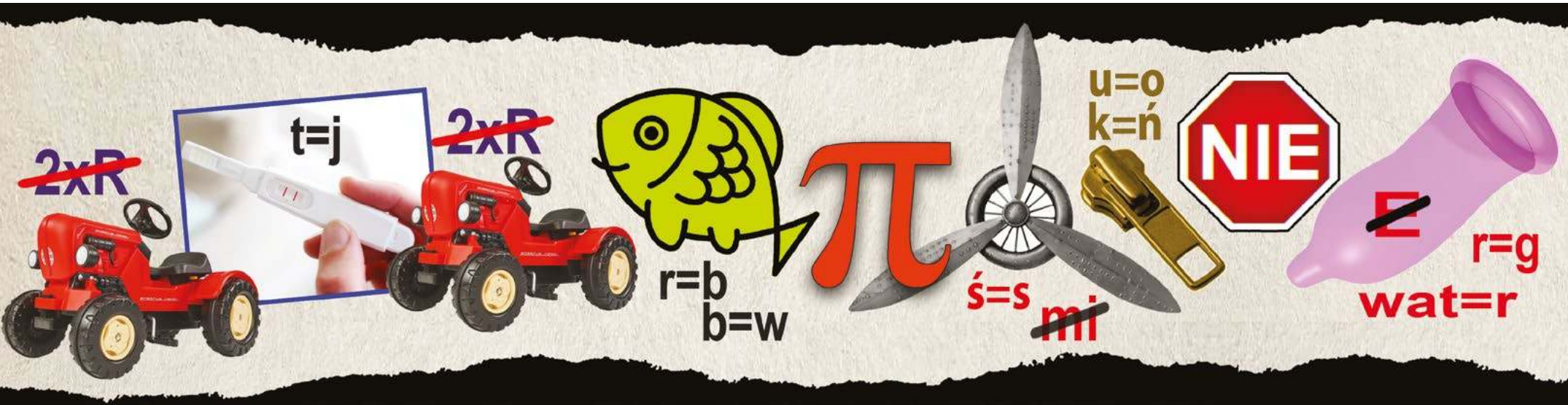
Poprawka: firma kurierska Brzoski nie zatrudniała ani jednego kuriera. Jak wyjaśniał to sam prezes w rozmowie z Grzegorzem Sroczyńskim: „3 tysiące osób jest naszymi podwykonawcami w zakresie świadczenia usług kurierskiej”.

Dobra wiadomość jest taka, że – w odróżnieniu od Amerykanów, którzy wciąż wierzą, że od pucybuta można dość do milionera ciężką pracą, a publiczna służba zdrowia to socjalizm i zniewolenie – obciążeni przez miazmaty Polski Ludowej obywatele III RP, po dwóch dekadach narastania nierówności i rozszerzania się obszarów nędzy, nie kupili neoliberalnego snu sprzedawanego przez Petru i jego quasi-partię. Po chwilowej wyżycie w sondażach na początku 2016 r. ten absurdalny, zahibernowany we wcześniejszych latach 90. twór polityczny zmierzał tylko w jednym kierunku.

I tam też jest jego miejsce: w pojemniku na odpady przeznaczone do politycznego recyklingu. Ci nieliczni, którzy uwierzyli, że chodzi o budowę nowoczesnego państwa, wolnego od żelaznego uścisku Kościoła, zapewne odnajdą się w Wiośnie czy SLD; fetyszyści wolnego rynku przytulą się do Korwina-Mikkego; reszta może przestać się krygować i zapisać się do PO. Ale wyprowadźcie już ten sztandar, jak rany, bo żęby bołą, gdy się patrzy, jak się wszyscy męczycie.

AWŁ

REBUS 1





Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Trafiła kosa na Brejzę

...

Frapowało mnie, czy Prokurator Regionalny w Łodzi, wzorem Piłatów z innych miejscowości, zechce umyć ręce, wnosząc do podległej sobie prokuratury o wyznaczenie innej jednostki. Gdy 1 października, po dwóch tygodniach, które upłynęły od decyzji Prokuratury Krajowej, prok. Krzysztof Bukowiecki, rzecznik prasowy PR w Łodzi, uprzejmie poinformował, że „nie wyznaczono jednostki do dalszego prowadzenia przedmiotowego postępowania”, byłem niemal pewien, że łódzkie łapki są umyte, a zabawa w poszukiwanie właściwej prokuratury trwać będzie do końca świata i o jeden dzień dłużej. W tym przekonaniu utwierdziłem się, bo rzecznik zakomunikował, iż „jednostka właściwa do dalszego prowadzenia postępowania zostanie wyznaczona w najbliższych dniach i o decyzji w tej sprawie poinformuję w odrębnym mailu”. Dni mijały, a odrębny mail nie nadchodził.

...

12 listopada zapytałem rzecznika, jaka prokuratura prowadzi po-

stępowanie. Nie odpowiedział. Nie wywiesiłem białej flagi, lecz pono- wiłem pytania, przypominając pro- kuratorowi, że 44 dni temu twier- dził, iż jednostka do prowadzenia postępowania zostanie wyznaczona w najbliższych dniach. No i że na piśmie zobowiązał się do poinformowania o wyznaczeniu tej innej jednostki. Tym razem odpowiedź nadeszła. „Uprzejmie informuję, że do prowadzenia śledztwa decy- zją z dnia 1 października 2019 roku, wyznaczona została Prokuratura Okręgowa w Ostrowie Wielkopolskim” – brzmiała. Wynika z niej, że jednostka właściwa do prowa- dzenia postępowania nie została wyznaczona w najbliższych dniach, ale tego samego dnia, w którym rzecznik poinformował, że jej nie wyznaczono. Prokurator nie wyja- śnił, dlaczego nie dotrzymał słowa, nie informując przez 1,5 miesiąca o skierowaniu sprawy do Ostrowa Wielkopolskiego.

Od momentu stwierdzenia, że do roboty ma wziąć się prokurator z Ostrowa, upłynęły prawie 2 mie- siące. To wystarczająco dużo czasu, aby dobrać się do dup przebiezań- ców Kurskiego i spółkujących z nimi

funkcjonariuszy publicznych albo umorzyć postępowanie.

Do ostrowskiej okręgówki posła- łem następujące pytania:

„Jakie czynności w ramach postę- powania wykonano od 1 październi- ka? Czy przesłuchano np. Samuela Pereirę, redaktora naczelnego ser- wisu TVP Info albo inne osoby? Czy podjęto jakiegokolwiek decyzje doty- czące przebiegu postępowania (np. o jego umorzeniu)?”

Odpowiedź: „Potwierdzamy, że Prokuratura Okręgowa w Ostro- wie Wlkp. otrzymała za pośred- nictwem Prokuratury Regionalnej w Łodzi materiały we wskazanej przez Pana Redaktora sprawie. Śledztwo jest aktualnie kontynu- owane i w jego ramach wykonywa- ne są przez prokuratora referenta zaplanowane w planie śledztwa czynności procesowe. Jednocze- śnie z uwagi na konieczność za- pewnienia prawidłowego toku po- stępowania brak jest na obecnym etapie możliwości udzielenia bar- dziej szczegółowych informacji co do poczynionych w jego toku ustaleń”.

Po pijaku wywód można uznać za lekko krzepiący: okazuje się, że

prokuratura niekiedy stoi na straży tajemnicy śledztwa i, w trosce o jego dobro, byle pismaków wiadomościami nie karmi. Na trzeźwo w oczy dżga paradoks, bo brak możliwości udzielenia szczegółowych informacji o śledztwie w sprawie wycieku szczegółowych informacji z innego śledztwa brzmi zabawnie i podkomendnych Ziobry w dobrym świetle nie stawia.

Zwłaszcza że informacje pozyskane i rozpowszechniane przez dzienni- karzy TVP, w tym Samuela Pereirę, naczelnego portalu TVP Info, stały się motywem przewodnim akcji pro- pagandowej mającej zożydzić opo- zycję i z pewnością wpłynęły na wynik wyborów.

Przypomnijmy – stojąca na straży wartości narodowych TVP postanowi- ła przykryć aferę hejterską w Minister- stwie Sprawiedliwości, dlatego w trak- cie kampanii wyborczej bez ustanku tygodniami bombardowała publikę newsami i reportażami o „wydziale nienawiści w inowrocławskim ra- tuszu”. Inowrocław to dla udających dziennikarzy pomagierów Kaczyń- skiego łakomy kąsek, bo prezydentem miasta od 2002 r. jest Ryszard Brejza, ojciec Krzysztofa, wcześniej posła, a dziś senatora Platformy Obywatel- skiej. TVP Info nadawała materia- ły mające wskazywać, że pod batutą Brejzy juniora w Wydziale Promocji i Komunikacji Urzędu Miasta w Ino- wrocławiu funkcjonowała farma trolli opłacanych z publicznych pieniędzy, w zamian za niszczenie w sieci pre- ciwników politycznych, bez bicia, a nawet z dumą przyznając, że rozpo- wszechnia materiały ze śledztwa pro- wadzonego przez Prokuraturę Okrę- gową w Gdańsku w sprawie oszustw i innych przestępstw popełnionych na szkodę inowrocławskiego ratusza. Co zresztą nie było konieczne, bo TVP często i gęsto cytowała świadków ze- znających w śledztwie i pochodzące z akt dokumenty, w tym treść kore- spondencji, zatem i bez przyznania się jasne było, gdzie pies jest pogrzebany.

Gdańska okręgówka nie wyrazi- ła zgody na ujawnienie informacji z prowadzonego przez siebie śledztwa i twierdzi, że nie wie, w jaki sposób propagandyści z TVP weszli w ich po- siadanie. Mimo że proceder wykorzy- stywania wiadomości z postępowania trwał tygodniami, żaden prokurator w Polsce nie kiwnął palcem, Ziobry nie wyłączając (Tłumaczenie Proku- ratury Krajowej: „Prokurator każde- go szczebla ma obowiązek reagować na każde przestępstwo, ale nie o każ- dym przestępstwie ma wiedzę, więc nie zawsze zareagować jest w sta- nie”). Śledztwo wszczęto po mojej interwencji z opisanym w niniejszym artykule skutkiem, choć początkowo prokurator twierdziła, że materiały wykorzystywane przez TVP nie po- chodzą z postępowania.

Jeśli się okaże, że akta zawędrowały do Ostrowa Wielkopolskiego tylko po to, aby na prowincji po cichu sprawie łeb ukreć, prokuratura dostarczy kolejnego dowodu, że Polska pod rzą- dami PiS-u jest jedną wielką farmą trolli przebranych za dziennikarzy i funkcjonariuszy publicznych.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK
mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

Kot jak lew

ną ze stron postępowania skarga kasacyjna do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Sprawa ta obecnie oczekuje na wydanie po- stanowienia o stwierdzeniu prawo- mocności przedmiotowego sporu”. Podpisał starszy specjalista Wydzia- łu Informacji Sądowej Dominik Niewirowski.

Korespondencję przysłałam do Wa- dowic, żeby również Kot miał miły dzień.

Bolesław Kot do Instytutu Pamięci Narodowej: „Kilka lat temu zwró- ciłem się do Państwa o wyposa- żenie mnie w pewne uprawnienia przysługujące kombatanom. (...) 8 sierpnia 2019 r. zapadł korzystny dla mnie wyrok w Wojewódzkim Sądzie Administracyjnym w War- szawie. Ten wyrok uprawomocnił się 13 października 2019 r. Mam do Państwa prośbę o powrót do spra- wy, a w szczególności o wydanie dokumentów umożliwiających mi egzystencję. Mam wielki problem w dotarciu normalnym trybem do leczenia w NFZ. Od dłuższego cza- su korzystam wyłącznie prywatnie z pomocy i porad lekarskich.

Od 18 lat cierpię na chorobę Parkinsona. Z tego powodu jestem osobą niesamodzielną, zdaną na opiekę rodziny. Aby w ogóle egzystować, muszę kupować bardzo drogie leki prywatnie, niedostępne w Polsce. Miesięczny koszt leczenia i rehabilitacji to ok. 1500 zł. Wspierają mnie córki, które krezusami nie są.

W przeszłości składałem Państwu różne wymagane dokumenty. Czy miałbym składać je jeszcze raz? Znow musiałbym obciążyć biuro- kracją rodzinę”.

IPN do Bolesława Kota: „Sprawa Pańska została rozstrzygnięta decy- zją z 10 lipca 2018 r. o odmowie po-

twierdzenia statusu działacza opozycji antykomunistycznej lub osoby represjonowanej z powodów politycznych. (...) Z uwagi na fakt, że wspomina Pan o korzystnym dla siebie wyroku WSA w Warszawie z 8 sierpnia 2019 r. pragniemy po- informować, że decyzja ostatecz- na może zostać wzruszona jedynie w jednym z trybów nadzwyczajnych w przypadku przedłożenia materia- łu dowodowego na okoliczność pod- legania represjom wymienionym w ustawie”.

Kot do Szefa Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych: „Mam pytania. 1. Czy rzekomego TW, tzn. mnie, a także moich dzieci, pozba- wiono by kartek na żywność? 2. Czy rzekomego TW, tzn. mnie, wyposa- żono by w wilczy bilet? Wtedy kiedy miałem 45 lat i znakomite osiągnię- cia techniczne. Potem wyłącznie mogłem pracować jako robotnik niewykwalifikowany. 3. Czy wyrok Sądu Najwyższego z 1990 r. stwier- dzający, że byłem represjonowany z powodu działalności politycznej nic nie znaczy? SN wciąż jeszcze wtedy reprezentujący władze komu-

nistyczne musiał to uznać. Bardzo proszę, przestańcie znęcać się nade mną”.

Urząd ds. Kombatantów i Osób Re- presjonowanych do Kota: „Uprzejmie dziękujemy za kontakt i potwierdza- my wpływ wiadomości. Niniejsze potwierdzenie jest generowane au- tomatycznie, prosimy nie odpowia- dać na nie. Jednocześnie informuje- my, że jeśli przedmiotem Pani/a wy- stąpienia jest skarga lub wniosek, to (...) skargi i wnioski niezawierające (...) adresu wnoszącego pozostawia się bez rozpoznania”.

Kot do Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych: „To się nie mieści w głowie. Wszelkie formalności i wy- magania do tego, aby zostać uznany za osobę represjonowaną, przedło- żyłem co najmniej 2 lata temu. IPN doszukał się przeszkody. Mianowi- cie zgłosił, że natrafił na dokumenty wskazujące, że byłem TW. Właśnie ten bezzasadny zarzut rozstrzygnął sąd w Warszawie na moją korzyść. Mianowicie, że zarzucanie mi pełnie- nia TW było bezzasadne. Więc dla- czego błąd IPN wciąż stanowi prze- szkodę? Mam 82 lata, jestem bardzo niesprawy, inwalida 1 grupy”.

Urząd ds. Kombatantów i Osób Re- presjonowanych do Kota: „Uprzejmie dziękujemy za kontakt i potwierdza- my wpływ wiadomości...”.

IPN do Kota: „W nawiązaniu do ko- rrespondencji informujemy, że pod- trzymujemy swoje stanowisko (...)”.

Bożena Dunat do IPN: „Przygotowu- jem publikację, dotycząca Bolesława Kota. Ubiegał się o status działacza opozycji, IPN odmówił (sprawa DSE 4-KO423-D3893-9/19). WSA w Warszawie uchylił decyzję. Jak ustaliłam, nie wpłynęło zażalenie, więc wyrok jest prawomocny. Tym- czasem IPN poinformował p. Kota, że wyrok jest bez znaczenia, gdyż „ostateczna i prawomocna jest de- cyzja IPN z 10 lipca 2018 r. odma- wiająca przyznania statusu opo- zycjonisty”. Jak należy to rozumieć? Czy sąd zrobił błąd? Czy IPN jest od korygowania sądowych błędów?”.

IPN do Bożeny Dunat: „W związku z Pani zapytaniem uprzejmie infor- muję, że w myśl ustawy o działa- czach opozycji antykomunistycznej status działacza opozycji lub osoby represjonowanej potwierdza Szef Urzędu ds. Kombatantów na pod- stawie decyzji wydanej przez IPN. Ponadto informuję, że na wniosek dziennikarski (tu podstawa prawna) każdy dziennikarz może otrzymać materiały archiwalne dotyczące da- nej osoby”. Popisał Adam Stefan Le- wandowski, p.o. rzecznika prasowego IPN.

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

Mimo że to już był koniec listopada, ten dzień w Katowicach był słoneczny i ciepły. Choć sala Sądu Okręgowego była bardzo duża, zapanaowała w niej duchota. Sędzia zażądał wezwania szefa ochrony. Następnie kazał mu uchylić kilka okien. Szef ochrony najpierw się zdziwił. Następnie, choć niechętnie, polecenie wykonał.

Była to bowiem sala szczególna. Przystosowana do sądenia najgroźniejszych gangsterów. Niedostępna niczym bastion obronny i pilnie strzeżona, znajdowała się w oddali od pozostałych obiektów sądu, w budynku położonym na terenie koszar Oddziałów Prewencji Śląskiego Garnizonu Policji.

Gdy na sali znaleźli się już, oprócz sędziego i protokolantki, obrońca, oskarżyciele oraz dziennikarze, wezwano zbrodniarza. Herr Schmidt wprowadzony został odrębnym wejściem, które natychmiast ponownie zamknięto na klucz. Policjanci umieścili go za długą i grubą szybą oddzielającą sadzanych tu gangsterów od reszty sali. Sędzia kazał wyprowadzić go zza szyby, co wzbudziło lekkie zaniepokojenie policjantów. Herr Schmidt nie miał bowiem na twarzy maski jak Hannibal Lecter. Mógł więc się rzucić na obecnych na sali i poprzegryzać im tętnice. Ostatecznie jednak polecenie to wykonali. Dzwoniąc niczym potępieniec, którym rzeczywiście jest, Herr Schmidt wyszedł z boksu dla zbirów. Dzwonił, gdyż skuto mu i ręce, i nogi. Tak jak na to zasługiwał. Była to pierwsza rozprawa przeciwko byłemu członkowi plutonu specjalnego oskarżonego o strzelanie do górników z kopalni „Wujek”, wniesiona po latach przez prokuratorów z IPN.

Zatrzymany, ale co z nim zrobić?

Herr Schmidta zaprowadziło na polską ławę oskarżonych zaufanie do współczesnej technologii. Wraz ze swą damą wybrał się bowiem na krótkie wakacje na wybrzeże chorwackie. Wcześniej oboje wyjeżdżali do Hiszpanii i Francji, kilka razy byli również na dalmatyńskiej wyspie Vir. I właśnie tam pojechali.

Po kilku dniach spędzonych nad Adriatykiem wracali do domu. Herr Schmidt włączył nawigację. Blisko granicy ze Słowenią nawigacja postanowiła poprowadzić go najkrótszą trasą i kazała mu zjechać z autostrady. Herr Schmidt posłuchał. Wkrótce auto sunęło wąską drogą wśród winnic, aż dotarło do przejścia granicznego Vinnica.

To był maj. Na przejściu granicznym nie było widać żadnych samochodów, nawet należących do miejscowych. Ponieważ Chorwacja nie jest w Schengen, na granicach obowiązują kontrole. Policja graniczna okropnie się nudziła. Jeden z pograniczników klepał więc ausweissy Herr Schmidta i jego damy do komputera. A komputer rozjarzył się na czerwono i nakazał: Zatrzymać! Następnie wypłut informację, że wydano Europejski Nakaz Zatrzymania Niemca. Herr Schmidt został więc zatrzymany.

Dzień zatrzymania Herr Schmidta był piękniejszy niż dzień wprowadzenia go do bastionu w Katowicach. Toteż gdy wreszcie na przejście graniczne dojechał tłumacz języka niemieckiego, gdy przetłumaczył, że Herr Schmidt prosi o kontakt z ambasadą Niemiec w Zagrzebiu, gdy wreszcie udało mu się do niej dodzwonić, ambasada odpowiedziała, że ma spadać na drzewo. Jest bowiem piątek, ambasada kończy tydzień wyjątkowej pracy i wybiera się tam, skąd Herr Schmidt wracał, czyli nad morze. Uprzejmie poproszono go, żeby wynajął adwokata.

W zasadzie postąpiono słusznie, gdyż z Herr Schmidta jest taki Niemiec jak z ekspremiera Leszka Millera. Jeszcze w latach 80. XX w. nazywał się Roman R. i był antyterrorystą. Do Niemiec wyjechał z żoną, która miała tamtejsze pochodzenie. Następnie przyjął jej nazwisko. W 1993 r. ambasada Polski w Niemczech wyraziła zgodę na zrzeczenie się przez niego obywatelstwa polskiego. Nie przeszkadzało to jednak naszej prokuraturze we wyzywaniu go na kolejne przesłuchania. Odbывały się one na terenie Niemiec. Ostatnie w 2013 r. Kilka razy żądano od RFN, aby wydała go Polsce. Niemiecka prokuratura wszczyła więc śledztwo w sprawie zarzutów stawianych Romanowi R. w związku z wydarzeniami w kopalni „Wujek”. Ponieważ jednak strona polska nie przedstawiła żadnych dowodów jego winy, śledztwo to umorzono.

Herr Schmidt stał się dla Chorwatów problemem. Zatrzymali go, tak jak chciała Polska. Był jednak obywatelem niemieckim, zaś strona niemiecka nie uważała, by dopuścić się przestępstwa. Jednocześnie nie była nim kompletnie zainteresowana. Co zrobić? Chorwaci wpadli na pomysł. Zamknęli Herr Schmidta w 8-osobowej celi z najgorszymi mętami. Była to mądra decyzja. Kilkanaście dni później Herr Schmidt sam poprosił, by wydano go Polsce.



Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

Najnowszy zbrodniarz stanu wojennego

13 grudnia zapadnie wyrok, który powinien zainteresować każdego polskiego policjanta.

Na początku czerwca znalazł się w samolocie lecącym z Zagrzebia do Warszawy.

Niech się nie przedawnia

Do momentu wydania prawomocnego wyroku każdy oskarżony, nawet ten, przeciwko komu przemawiają niezbite dowody, uznawany jest za niewinnego. Dlatego należy przyjąć, że w sprawie Herr Schmidta (już jako Romana R.) wyrok zapadł 6 czerwca. Tego dnia PAP przytoczyła słowa sędziego, którym mianował się minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro: „W przypadku zbrodni przeciwko ludzkości, w wyniku których ginęli niewinni ludzie, upływ czasu nie powinien mieć dla prokuratury znaczenia. Nikt, kto dopuścił się przestępstw w przeszłości, nawet jeśli to było niemal 40 lat temu, nie powinien czuć się spokojny. Sprawiedliwość nawet po latach powinna być wymierzona. Dziś mamy kolejny dowód na to, że dzięki wyjątkowej pracy śledczych i rozwojowi nauki i techniki mamy szansę skutecznie ścigać sprawców przestępstw dokonanych wiele lat temu”.

Po co więc proces, który toczy się w Katowicach? Nie wiadomo. Ale skoro jest, to wcześniej należało sądowi przedstawić akt oskarżenia. Prokuratura postawiła Herr Schmidtowi zarzut udziału w bitwie.

Każdy z niebezpiecznym narzędnikiem

Pod komunikatem dotyczącym chuligana podpisał się Andrzej Pozorski, dyrektor Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu i zastępca Prokuratora Generalnego: „Działając wspólnie z innymi członkami tego plutonu, dopuścił się zbrodni komunistycznej stanowiącej zbrodnię przeciwko ludzkości, polegającej na stosowaniu represji i naruszaniu praw człowieka w ten sposób, że wziął udział w pobiciu strajkujących górników kopalni »Wujek« i użyciu niebezpiecznych narzędzi w postaci broni palnej, oddając strzały w kierunku pokrzywdzonych, narażając ich na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia, ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, w wyniku czego śmierć poniosło 9 osób, a 21 doznało obrażeń ciała, co stanowiło poważne prześladowanie z powodu przynależności strajkujących górników do określonej grupy społecznej i politycznej, która sprzeciwiała się bezprawnemu wprowadzeniu stanu wojennego oraz pozbawieniu podstawowych praw i wolności obywatelskich”.

Te zdania powinien zapamiętać każdy polski policjant. W przypadku Herr Schmidta wiadomo bowiem tylko to, że wraz z innymi funkcjonariuszami jednostki antyterrorystycznej, jaką był pluton specjalny, 16 grudnia 1981 r. został przywieziony pod mur kopalni „Wujek”. Był wśród licznych funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej, a także żołnierzy i oficerów Ludowego

Wojska Polskiego, których tam zgromadzono. W pełnym umundurowaniu i rynsztunku wykonywał polecenia i rozkazy przełożonych. Nie wiadomo jednak, czy startł się z którymkolwiek z górników. Na wyposażeniu miał pistolet maszynowy pm-63. Nie wiadomo, czy z niego wystrzelił, czy nie.

Kilka dni później wraz ze wszystkimi członkami plutonu specjalnego na specjalnym formularzu spisał raport z użycia broni i amunicji. Oświadczył, że zużył 3 naboje. To ma być koronny dowód jego winy.

Te raporty kazał napisać dowódca.

Milicjanci umówili się, że wszyscy oświadczą, iż strzelali. Wiadomo, że wśród nich byli tacy, którzy strzelać do górników nie mogli. Jeden dlatego że zachorował i nie brał udziału w szturmie. Po wielu latach procesu nawet oskarżyciele posłukowi prosili, by go usunąć z grona oskarżonych. Inny miał rozkaz szturmowania kopalni „Wujek” ze śmigłowca. Ponieważ podczas akcji panowało zadymienie, śmigłowca w akcji nie użyto.

Ten milicjant cały szturm przesiedział kilka kilometrów od kopalni – na lotnisku. Ale że również napisał raport, to został skazany. W bitwie uczestniczył zdalnie, górników bił, zabijał oraz ranił siłą telepatii.

Procesy, niewinnieni, brak dowodów

Pierwszy proces o strzelanie do górników z kopalni „Manifest Lipcowy” i „Wujek” ruszył w 1991 r. Na ławie oskarżonych posadzono wówczas ponad dwudziestu funkcjonariuszy. W 1997 r. sąd dziesięciu uniewinnił. Wobec pozostałych umorzył postępowanie z braku dowodów.

Drugi proces zakończył się w 2001 r. uniewinnieniem. Sąd orzekł, że prokuratura nie przedstawiła wystarczających dowodów winy oskarżonych.

Trzeci proces poprowadziła żona szefa delegatury ABW w Katowicach. W trakcie postępowania minister sprawiedliwości mianował ją prezesem Sądu Okręgowego w Katowicach. Ministrem tym (jak dziś) był Zbigniew Ziobro. Nowe obowiązki nie przeszkodziły sędzi w sprawnym doprowadzeniu procesu do końca. Oskarżeni zostali wreszcie skazani.

W trakcie wcześniejszych dwóch procesów przesłuchano mnóstwo ludzi. Byli wśród świadków postrzeleni górnicy. Nikt nie rozpoznał strzelców.

Natomiast górnicy zeznawali o ludziach strzelających spoza terenu kopalni – stojących w gaziku czy na czołgu. Grono potencjalnych zabójców było więc szersze niż skład plutonu specjalnego. Broń ostrą miało wielu innych milicjantów, wojskowi, a także straż przemysłowa. Jednak ostatnia sędzia wsparła się tzw. raportem taterników.

Z pamięci taterników

Antyterroryści z plutonu specjalnego przechodzili szkolenie alpinistyczne, którym kierował Jacek Jaworski. Jaworski i dwóch innych taterników podczas tego szkolenia mieli wyciągać z milicjantów wyznania o tym, którzy z nich strzelali. Następnie sporządzili raport w trzech egzemplarzach i jeszcze w latach 80. XX w. przekazali go wybranym przedstawicielom opozycji.

Nie wiadomo, czy raport rzeczywiście istniał. Żadna z jego trzech kopii nigdy do adresatów nie dotarła. Zaś sami taternicy milczeli na ten temat przez długie lata. Rzekomy raport został odtworzony w 1999 r. przez Jacka Jaworskiego. On właśnie mówił, kto miał strzelać do górników. Kto chwalił się rzekomo, że: „Fik i ludzik znikną!”. Wtedy twierdził, że Herr Schmidt miał być jednym z tych, którzy przejawiali „szczególną aktywność w ostrzeliwaniu górników”.

W procesie Herr Schmidta Jaworski ponownie został przesłuchany. Potwierdził istnienie raportu. Mówił, że w plutonie specjalnym służyło dwóch braci R. (jednym był Herr Schmidt). Przypadkiem okazało się, że Jaworski nie wie, kto jest w obecnym procesie oskarżonym. Po przesłuchaniu pytał na korytarzu, który to z braci R. Dowiedział się, że młodszy.

Przesłuchiowano również innych świadków. Wśród nich byłych członków plutonu, którzy już odsiedzieli swoje. Nie wszystko pamiętali. Sędzia odczytywał ich zeznania sprzed lat. Niektórych słów nie potrafił odcyfrować. Wtedy je pomijał.

W gronie tych dotychczas nieprzesłuchanych jest inny obywatel Niemiec. Podobnie jak Herr Schmidt był członkiem plutonu specjalnego, był podejrzany o dokonanie to samo i na podstawie tych samych dowodów. Przez lata ścigano go listem gończym. Prokurator z IPN napisał jednak, że wobec decyzji niemieckiej prokuratury o umorzeniu postępowania polska prokuratura uchyliła list gończy i w 2018 r. umorzyła postępowanie. Ma się więc teraz ów człowiek stać w Polsce jako świadek na procesie Herr Schmidta.

Sam zainteresowany nie kwapi się jednak do przyjazdu. Poinformował, że choruje. Być może nie wierzy w szczerość IPN. W tej sytuacji sędzia wyznaczył termin ogłoszenia wyroku. Minister Ziobro oświadczył, że proces ma charakter szczególny. Data ogłoszenia wyroku również jest szczególna – 13 grudnia. W tym dniu minie kolejna rocznica wprowadzenia stanu wojennego.

MATEUSZ CIEŚLAK
mcieslak@redakcja.nie.com.pl

Przez nieudolność Jurgiela i Ardanowskiego Schengen może stać się wspomnieniem.

O tym, że Afrykański Pomór Świń (ASF) zbliża się do polskiej granicy, wiadano co najmniej od 2010 r. Przygotowywaliśmy się do ataku. Głównie mentalnie.

A więc wojna...

Granica państwa polskiego padła w lutym 2014 r. Świnie ze Wschodu zdobyły przyczółek przy granicy z Białorusią. Dowodzący wówczas walką z nawałą minister Marek Sawicki z PSL przeprowadził kontratak. Otoczył przeciwnika i przez ponad 1,5 roku uniemożliwił mu wyprowadzenie jakiegokolwiek manewru. Świńska enklawa składająca się z czterech nadgranicznych gmin broniła się jednak cackiele, czekając na błąd przeciwnika.

Ten nastąpił 25 października 2015 r., a właściwie miesiąc później, gdy ogłoszono, że zamiast Sawickiego dowódcą w wojnie z chrumkającymi hordami będzie Krzysztof Jurgiel z PiS.

Obłężenie przyczółka pękło. Siła ognia państwa polskiego osłabła na tyle, że świnie ruszyły na zachód, północ i południe. Z dnia na dzień siły przeciwnika rosły. Z 83 przypadków uśmierconego wroga, które odnotowano w czasach dowodzenia Sawickiego, liczba ta po kolejnych dwóch latach urosła do 1213. Dziś ofiar po stronie włochatych świń jest prawie 5500.

W ciągu niecałych czterech lat od wyrwania się z przygranicznego przyczółka wróg zagarnął prawie pół Polski. Od Pomorza, przez cały pas wschodni, aż po Małopolskę. Sforsował San, a nawet Wisłę i prze na Zachód. Dawno już zostawiając za sobą Warszawę.

Ostatnio doszło jednak do czegoś, czego Ardanowski, który przejął buławę po Jurgielu w lipcu tamtego roku, nie przewidział.

Zapowietrzony desant

Wschodnia nawała zdobyła się bowiem na operacyjny majstersztyk i dokonała desantu. Przeskoczyła front o kilkaset kilometrów i okopała się tuż nad Odrą – w Lubuskiem. Doniesienia z tamtego odcinka frontu mówią już o co najmniej dwudziestu ofiarach śmiertelnych po stronie wroga.

Niech żyją polskie świnie

Trup ściele się gęsto i po polskiej stronie. Do tej pory wybito kilkaset stad, hodowanych na schabowe, łysych świń. W przeliczeniu na sztuki liczba ofiar po naszej stronie jest wyższa od tego, co padło po stronie agresora.

Gdyby jednak dodać czystki dokonywane wśród sprzyjającej wrogowi populacji dzikich świń, to jesteśmy górą. Od kul padło bowiem w latach 2016–18 ponad milion osobników z potencjalnej piątej, kudłatej, świńskiej kolumny.

Jak twierdził Napoleon, na wojnie najważniejsze są pieniądze. Te zaś idą już w dziesiątki milionów złotych. Głównie na odszkodowania dla właścicieli wybijanych stad oraz na to, żeby hodowcy mogli się szybko przebranżwić. Beneficjentami budżetu wojennego są też oddziały przeprowadzające pacyfikacje. Każdy zabijający wroga może liczyć na kilkaset złotych. Nie wspominając już o darmowym wsadzie do lodówki.

Wszystko na nic. Ardanowski, tak jak jego poprzednik, ponosi klęski niemal na każdym froncie. Zdaniami teoretyków i praktyków tej wojny porażka ministra rolnictwa nie bierze się znikąd.

Jego powodem jest miłość do chłopstwa wykazywana przez PiS. Sawicki przystopował wschodnią zarazę żelazną ręką. Na pole walki wysłał fachowców i kontrole stad. Myśliwym za odstrzały zaczęto płacić mniej i nawet przestano ich cisnąć, aby zabijali dziki. Najciekawsze jednak jest to, że popodnoszono odszkodowania dla rolników, którym trzeba było wybić stada. Nic zatem dziwnego, że wielu z nich bardziej opłacało się zorganizować epidemię, niż coś hodować. Państwo zabijane świnie brało na pniu i nie trzeba się było targować.

W języku walczących ze świńskim pomorem nosi to nazwę bioasekuracji i sprowadza się do niedopaszczenia wirusa w pobliże chlewni, stąd zmiana i dezynfekcja obuwi, ubrań, rąk i rękawiczek, a nawet samochodów. Nie wspominając już o tym, że do chlewni nie mogą wlażyć osoby postronne i nieumyte.

W ciągu kilkunastu miesięcy powstrzymywania, przez PSL-owskiego ministra, ekspansji stosowano się nawet do tego, że kontrolowano, czy z zajętych przez wroga okolic nie wychodzą zakażone kanapki czy inne trefne żarcie. Na granicach stref stały bowiem posterunki i specjalne kosze



ILUSTRACJA KRZYSZTOF OLEJNIK

na wszystko, co mogłoby przenieść zarazę, infekując grasujące na zewnątrz strefy dzikie świnie.

Nieliczne skądinąd. Lokalne koła łowieckie miały bowiem wybić wszystko, co jest kudłate, chrumka i nie mieszka w ogrodzie zoologicznym.

Się odstrzelili

Jurgiel i Ardanowski to wszystko olali. Uznając, że wiejski suweren nie może być poddany takim nieludzkim obostrzeniom. Spadł nacisk na kontrole stad. Myśliwym za odstrzały zaczęto płacić mniej i nawet przestano ich cisnąć, aby zabijali dziki. Najciekawsze jednak jest to, że popodnoszono odszkodowania dla rolników, którym trzeba było wybić stada. Nic zatem dziwnego, że wielu z nich bardziej opłacało się zorganizować epidemię, niż coś hodować. Państwo zabijane świnie brało na pniu i nie trzeba się było targować.

Przedbanasiowa Najwyższa Izba Kontroli przeprowadziła inspekcję przestrzegania przez rolników zasad bioasekuracji. I wyszło jej, że trzech na czterech ma procedury w dupie.

Pewnie po to żeby rolnicy nic nie musieli, władza wykonypowała, że pozbawi ich zagrożenia. Stąd zeszłoroczne odstrzelenie 341 tys. dzików. Wychodząco ze słusznego skądinąd założenia, że jeżeli dzik będzie rzadkością, to ma mniejsze szanse zarazić się od innego dzika i zawlec zarazę w okolice chlewni. Przy okazji śmiano się z prozwyżatkowego lamentu z powodu rzezi niewiniątek. Ludzie wiedzący co nieco o ASF – czego nie można powiedzieć o aktywistach – twierdzili, że śmierć od kuli jest dla dzików bardziej humanitarna niż 5-dniowe zdychanie w męczarniach.

Dołożono zatem kasy myśliwym i zwierzęta odstrzelono. Efekt był taki, jak zamierzano. Trzykrotnie spadła liczba padniętych na ASF, a były nawet miesiące, gdy nie znajdowano żadnego nowego martwego przypadku. Na pysk poleciały też statystyki nowych ognisk choroby w chlewniach.

Szykowała się jednak seria wyborów. A ponieważ PiS nie chciało uchodzić za nieludzkie, to wyszło naprzeciw postulatowi miłośników piesków i kotków, ograniczając tegoroczny odstrzał dzików do 185 tys. sztuk, czyli prawie o połowę. Spadająca liczba ofiar ASF początkowo zaczęła nie spadać, by potem zacząć rosnąć. Tegoroczne statystyki pokazują, że znaleziono już ponad 2 tys. padłych na pomór dzików. W górę skoczyła i liczba zakażonych stad trzody chlewnej. Ardanowski może się zatem pochwalić tegorocznymi 50 chlewniami, z których mięso musiało kupić państwo.

Ponieważ ASF nie jest w stanie zarazić nawet największej świni, jeśli tylko jest człowiekiem, to dla obywateli Rzeczypospolitej szynka czy karkówka z odrobiną wirusa ASF absolutnie groźna nie jest.

Polnische Schweine

Najzabawniejsze, że najprawdopodobniej właśnie przerabianie zaka-

żonej świniny spowodowało lubuski desant ASF.

„Zawiadamy o możliwości popełnienia przestępstwa poprzez celowe szerzenie choroby ASF na terenie województwa lubuskiego przez podmiot z woj. wielkopolskiego, który starał się o ubój świń ze strefy czerwonej. Ma to na celu skupowanie świń po zaniżanych cenach” – wysmarowało do prokuratury Stowarzyszenie Polskich Producentów Trzody Chlewnej.

Niemal 2 miesiące temu wielkopolscy hodowcy świń wkurzyli się, bo poszła fama, że jeden z tamtejszych zakładów mięsnych złapał kontrakt na ubój stad zarażonych ASF. Stad z czerwonej strefy, czyli gospodarstw leżących od Wielkopolski o setki kilometrów. Plotka była prawdziwa, ale we wrześniu sprawę zablokowały służby weterynaryjne.

Hodowcy sądzą, że to, co nie udało się mięsnej firmie głośno, przeszło po cichu. I teraz wozi zarażone mięso, siejąc po okolicy ASF. Ponieważ jednak przepisy są takie, że nie można z ulicy wpaść do czerwonej strefy i pakować nierogaczyny, to znaczy, że instytucja państwowa musiała na coś takiego wyrazić oficjalną zgodę. Instytucje państwowe działające w tym sektorze podlegają Ardanowskiemu.

Wkurw świniarzy z Wielkopolski nie jest bezzasadny, bo tam w chlewniach nie trzyma się kilku czy kilkadziesiątu warchlaków, jak na ścianie wschodniej, ale tysiące. Jeżeli się nie będzie ich hodowało, to na owce albo króliki nikt się nie przeczuci. Stąd ASF w Wielkopolsce to dla tysięcy ludzi armagedon. W końcu produkuje się tu 35 proc. polskiej wieprzowiny.

W gacie robią też Niemcy po drugiej stronie Odry. Niemieckie świnie to 22 proc. produkcji unijnej. Ich 2,5 raza większe od naszych hodowle, dające 5,4 mln ton, nie chciałyby z powodu ASF zostać embargiem eksportowym. I właśnie w ich ochronie w zeszłym roku odstrzelili 850 tys. własnych dzików świń.

Ponad 20 padłych na ASF lubuskich dzików staje się więc problemem nie tylko dla nieudolnego Ardanowskiego, ale i dla Czaputowicza, ministra spraw zagranicznych.

Niemcy wkurwieni są tak, że z powodu Afrykańskiego Pomoru gotowi są przywrócić granicę. I odbierać wszystkim Polakom kanapki.

TADEUSZ JASIŃSKI

Wieści gminne i inne

Od kul Holendra z Holandii padł będący pod ścisłą ochroną wilk w lasach Nadleśnictwa Turawa. Holender upiera się, że strzelał do lisa, który pod ścisłą ochroną nie jest. Jak to się stało, że trafił w wilka, ustalają policja i prokuratura z Kluczborka. Holender jeszcze nie wie, że grożą mu 2 lata w polskim więzieniu. Gdyby wiedział, jakie tam zgotują mu piekło, profilaktycznie zapewne zastrzeliłby siebie zamiast wilka.

Sołtys Bandrowa w Bieszczadach Wiesław Groch czeka, aż miejscowe wilki, które zachowują się jak upośledzone pitbulle na hajku, zagryzą wreszcie jakiegoś ssaka naczelnego, co jego zdaniem skruszy serca urzędników, odmawiających odstrzału tych niebezpiecznych, aczkolwiek chronionych prawem, zwierząt. Ostatnio wilki zagryzły 7-miesięczne żrebię oraz dwie jałówki. Zasadniczo sposób rozumowania sołtysa Grocha uznać należy za słuszny.

Trzech borykających się z kłopotami finansowymi mechaników samochodowych z gminy Kleszczewo (Wielkopolska) udało się do Kielc (Świętokrzyskie), aby wypożyczyć z wypożyczalni luksusowego mercedesa AMG o wartości 170 tys. zł. Następnie zaparkowali samochód w lesie i rozkręcili na części, które chcieli sprzedać za

umiarkowane pieniądze. Wszystko układało się, jak zaplanowano, gdy nagle obok karoserii, która pozostała z samochodu, w środku lasu pojawiły się 2 patrole policji. Mercedes wyposażony był bowiem w nadajnik GPS, o którym mechanicy nie wiedzieli. Przed policją tłumaczyli się głupio, że samochód po prostu znaleźli w lesie. A mogli przecież powiedzieć, że w umowie najmu pojazdu nigdzie nie jest napisane, że nie można go rozkręcać.

Naukowcy z Politechniki Świętokrzyskiej z Katedry Geotechniki, Geomatyki i Gospodarki Odpadami utrzymują, że dokonali odkrycia geograficznego na miarę tego, którego dokonał Kolumb. Uczeń ustalili, że najwyższym szczytem Gór Świętokrzyskich nie jest, jak do tej pory mniemano, Łysica, ale o 60 cm wyższa Skała Agaty. Tak właśnie wyglądają odkrycia polskich naukowców. Nie tak dawno odkryto, że geometryczny środek Polski nie znajduje się tam, gdzie się znajdował, a jeszcze wcześniej, że powierzchnia kraju powiększyła się o 1643 ha. Trzeba teraz zmierzyć długość wybrzeża, wysokość Tatr i powierzchnię Śniardw, bo są to rejon potencjalnie bardzo obiecujących odkryć gwarantujących miejsce w historii.

Władza szykuje się do wojny, a w każdym razie testuje, co by było, gdyby było. Mężczyźni z Olkusza i Wadowic dostali wezwanie mobilizacyjne do stawienia się w jednostkach wojskowych. Gdy już się stawili, dowiedzieli się, że nie chodzi o prawdziwą wojnę, tylko o ćwiczenia. Można przypuszczać, że według danych resortu obrony przyszła wojna ma wybuchnąć po południu, albowiem mobilizowani otrzymali wezwania w nocy.

Badania post mortem zwłok Edwarda wykazały przekrwienie w jamie ustnej, rozległy wylew krwi w okolicy piersiowej i lędźwiowej kręgosłupa oraz obrzęk płuc. Śluz i pianę w krtani i tchawicy. Przekrwione były mózg, wątroba i nerki. Prokuratura jednak nie ma pewności, czy obrażenia te zadały osoby trzecie, czy może Edward wpadł pod samochód. Tym samym sprawa szopa Edwarda, który rzekomo został zamordowany w Olsztynie podczas minionych wakacji, została ostatecznie zamknięta. Nikomu nie postawiono zarzutów.

Jak podała Polska Agencja Prasowa, w powiecie słupskim znaleziono rozczłonkowane ciało króla polskiej puszczy – żubra. Głowa była oddzielnie, nogi osobno, a w tuszy byka stwierdzono rany postrzałowe spowodowane z samopału, świadczące o tym, że żubr został najpierw zabity, a dopiero potem stracił głowę. Nie ma więc wątpliwości, że do zabójstwa przyczyniły się osoby trzecie. Były one biedne, brzydkie i nie roztawały się z rowerem – można wywnioskować z komunikatu wydanego przez miejscową policję. Niestety jest to dość nieprecyzyjny rysopis, ponieważ w Słupskim wielu jest takich ludzi.

Policja w Elblągu ujęła dwóch włamywaczy, którzy dla niepoznaki jeździli robić kwadraty na damskich rowerach, zresztą kradzionych, w maskach wilkołaków, które jeden z przestępców pożyczycił od wnuka. Paść ofiarą takich specjalistów to raczej komedia niż tragedia.

4 zespoły saperskie z Nowego Dworu Mazowieckiego i Kazunia jechały na łeb na szyję kilkadziesiąt kilometrów do Sadownego Węgrowskiego, gdzie

znaleziono 30 bomb lotniczych w bardzo dobrym stanie. Trudno doprawdy zrozumieć ten pośpiech wiążący się z zagrożeniem zdrowia i życia saperów oraz innych użytkowników dróg, skoro bomby leżały przy stacji kolejowej we wspomnianym Sadowym od ponad siedemdziesięciu lat. Przez ten czas nikt od nich nie zginął. O tym, czy pracujący w takim pośpiechu żołnierze zapewnią w Sadowym ten sam poziom bezpieczeństwa, jak wtedy, gdy ich tam nie było, przekonamy się w najbliższych dniach.

Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego pracuje nad systemem dopłat dla rolników do upraw konopi z przeznaczeniem na pozyskanie leczniczej marihuany. Przypominamy, że zanim marihuana w Polsce uzyskała status leku, uprawiana była bez dopłat i przynosiła plantatorom dochody, o których rolnicy nawet nie śnili. To jest kolejny dowód na to, że gdy za coś łapią się urzędnicy, to z pewnością sprawa zostanie spierdolona lub postawiona na głowie.

W Łodzi żyje najmniejszy koń na świecie Bombel (pisany przez „om”, nie poprawiać), który jest ogierem. W kłębie ma nieco ponad pół metra. Życzymy Bomblowi sukcesów prokreacyjnych, choć, mówiąc szczerze, przy takich mankamentach urody nawet międzynarodowa sława zdobyta dzięki wpisaniu Bombla do „Księgi Rekordów Guinnessa” niewiele pomoże.

R.J.

Doniesienia zaczerpnięte z prasy lokalnej zostały przez nas wnikliwie przeanalizowane. To jednak nie znaczy, że są absolutnie prawdziwe. Warte jednak zdały się nam szerszej prezentacji, nawet gdyby na prawdzie nie polegały.

Pani Renata zaciążyła i nawet udało jej się szczęśliwie urodzić.

Kilka dni po tym radosnym fakcie mknę do urzędu stanu cywilnego zarejestrować nowego obywatela. Jako świadoma Polka ma w ręku oświadczenie tatusia latorośli. Chce, żeby dziecko od zarania nosiło jego nazwisko.

Tatuś do urzędu nie idzie, bo mieszka daleko w Holandii. Pani Renata urodziła nie tam, gdzie z facetem mieszka, ale na czas porodu i kawałka czasu po nim przeniosła się do matki. Do Polski.

Mamy XXI wiek, zatem kierownik USC, podłączając się do bazy danych o obywatelach, weryfikuje przedłożone kwity. A potem wystawia odpowiedni kwit. Jest w nim PESEL dziecka, jego imię i nazwisko. Jednak nie nazwisko pani Renaty ani pana, który jest biologicznym ojcem.

Pani Renata dostaje wścieku. Dziecko bowiem nazywa się tak jak jej były mąż.

8 miesięcy – tak długo pani Renata jest uprawomocnioną rozwódką.

Kierownik USC na taki atak jest przygotowany. Odpowiada, że doskonale petentkę rozumie, ale gdyby wpisał dziecku inne nazwisko, sprzeniewierzyłby się prawu.

Na dowód tego wyłącza kodeks rodzinny i opiekuńczy, otwiera na stronie z art. 62 i po przeczytaniu go pani Renacie rozkłada ręce. Zapis mówi, że „jeżeli dziecko urodziło się w czasie trwania małżeństwa albo przed upływem trzystu dni od jego ustania lub unieważnienia, domniemywa się, że pochodzi ono od męża matki”. Jest jednoznaczny i wzmocniony paragrafem stanowiącym, iż „domniemania powyższe mogą być obalone tylko na skutek powództwa o zaprzeczenie ojcostwa”.

Wszystkie dzieci kierownika

Według polskiego prawa ciąża trwa prawie 2,5 roku.



ILUSTR. WŁODEK KIERUS

przebywa rzezone dziecko, powinna dokonać obowiązku zameldowania nieletniego.

Do urzędu biegnie zatem babcia z wyraźnym zamiarem wyjaśnienia i wyprostowania sprawy. Gdy widzi zademonstrowane jej paragrafy, też mięknie. Na dodatek poświadcza nieprawdę, podpisując się pod dokumentem stwierdzającym, że mieszka u niej ktoś kto tak naprawdę nazywa się inaczej.

Babcia dzwoni do byłego zięcia. Ten w trymiga pojawia się w urzędzie. Z pyskiem, bo przy braku szacunku do byłej nie ma najmniejszego zamiaru zostać obciążony alimentami za nie swoją progeniturę.

Mimo wyciągnięcia argumentu, jakim jest zeznanie w sądzie, że z panią Renatą nie spółkował od roku, nic nie uzyskuje, chociaż zeznanie nie zostało zakwestionowane ani przez rozwodzącą się z nim małżonkę, ani przez majestat sądu. A było składane pół roku przed uprawomocnieniem się rozwodu. Oznacza to, że ostatni raz spółkował z Renatą przed 28 miesiącami. Jeśli ciąża trwa 9, to dlaczego dziecko ma nosić jego nazwisko. Jedyne, co może zrobić, to wnieść sprawę o zaprzeczenie ojcostwa. Wygraną ma w kieszeni.

Wniesienie sprawy to opłaty. Poza tym trzeba złożyć stosowne kwity, czyli dowody. Wśród nich najistotniejsze jest badanie DNA.

Zaprzysiężony prawnik eksmęża pani Renaty radzi, żeby broń Boże nie występować do sądu o dowód z badania DNA, gdyż jego wynik finansowy będzie trzykrotnie wyższy od tego, co się zapłaci za prywatne badanie DNA na okoliczność ustalenia ojcostwa.

Babcia oseska znalazła inne rozwiązanie. Pani Renata oddała sprawę do prokuratury.

Miała szczęście. Prokurator sprawę przyjął i przeprowadził w ciągu trzech miesięcy. Ponieważ to on był stroną, to jedynymi kosztami tatusiów i pani Renaty było stawienie się przed sądem.

Najbardziej zdziwiony całą procedurą był holenderski tatuś, którego polskie procedury upewniły, że z polskim systemem prawnym rzeczywistość jest coś nie tak.

Nikt nie wpadł na pomysł wywalenia przepisu z XIX w., gdy nie znano metod ustalania ojcostwa nawet za pomocą grupy krwi. Sędziowie rodzinni wiedzą, że art. 62 to kretynizm, ale przecież nie oni są od zmieniania prawa. Świadome istnienie debilnego przepisu jest także biuro Rzecznika Praw Obywatelskich, nie wspominając o Ministerstwie Sprawiedliwości. Ale obie instytucje mają mnóstwo pracy z praworządnością i nie mają czasu na duperelę.

Tymczasem – jak wynika z rozmów z sędziami rodzinnymi – od kilku lat liczba spraw skierowanych przeciwko

domniemaniom kierowników USC rośnie za sprawą bazy PESEL, do której mają dostęp urzędy.

Kiedyś kierownicy nadawali nazwiska byłym małżonków dzieciom rozwiedzionych niedawno matek tylko wskutek donosu. Dziś muszą robić to z obowiązku, jeśli tylko wypatrzą, że do narodzin doszło przed upływem trzystu dni od uprawomocnienia się rozwodu.

Sędziowie rodzinni mają dzięki temu więcej bezsensownej roboty. Bezsensownej, bo przecież już na pierwszej rozprawie do wydania wyroku i jego uprawomocnienia się upływa co najmniej kwartał. Czyli domniemanie ojcostwa byłego męża nie ma sensu.

To samo zdanie o przepisie mają urzędnicy USC. Ale nie tylko wyposażanie ich w obowiązek nadawania nazwisk ich rozwala. Jest bowiem prawo, które każe im nadawać dzieciom imiona. Nie własne. Imiona ojców.

Jeśli kobieta pozwoli sobie na zapłodnienie z anonimowego *in vitro* czy banku spermy, co oznacza, że nie ma i nie chce mieć pojęcia o personaliach dawcy DNA, to i tam ma podać imię ojca. „W razie braku takiego wskazania w akcie urodzenia zamieszcza się jako imię ojca imię wybrane przez kierownika urzędu stanu cywilnego” – tak każe art. 61 prawa o aktach stanu cywilnego. Tak jest ponoć dlatego żeby dziecko nie było stygmatyzowane.

TADEUSZ JASIŃSKI

Opinią publiczną wstrząsnęła ostatnio informacja, że kobieta, która była transportowana do jednego z warszawskich szpitali, zmarła, ponieważ ratownik nie umiał zmienić butli z tlenem, a kierowca nie miał uprawnień do prowadzenia karetki i jechał zbyt wolno. Ktoś gdzieś jest gotowy wyciągać konsekwencje, ktoś chce kogoś karać i dyscyplinować. Tymczasem wszyscy pracujący na Szpitalnych Oddziałach Ratunkowych i w Zakładach Ratownictwa Medycznego wiedzą, że od pewnego czasu taki skład karetki pogotowia jest normą. I choćby karano ZRM dotkliwie, to i tak sytuacja się nie zmieni. Chyba że na gorsze.

Dyspozytorzy coraz częściej odmawiają wysłania karetki albo przyjeżdża ona zbyt późno, bo nie ma personelu. Przypadków śmierci pacjentów jest coraz więcej.

W ZRM brakuje lekarzy, ratowników, a kierowcy z uprawnieniami uciekają już po kilku miesiącach pracy.

Niedługo stacje pogotowia ratunkowego będą zadowolone nie wtedy, gdy zatrudnią fachowy personel, ale wtedy, gdy zatrudnią kogokolwiek.

Za późno

Do chorego z Krakowa karetka nie przyjechała, choć do jego domu miała niespełna 250 m. Do umierającego gnało pogotowie z odległej Nowej Huty. Efekt? Pacjent zmarł.

Na jednej z budów ranny został 46-letni robotnik. Jego koledzy 2 razy wzywali pogotowie, ale dyspozytor odmawiał przyjęcia zgłoszenia. Powód? Nie miał składu karetki. Gdy ambulanś w końcu przyjechał, było za późno. Mężczyzna zmarł.

Mieszkaniec Starych Oleszyc, od lat chory na serce, zmarł, bo lekarz w karetce był pijany. Badania wykazały, że miał 1,23 promila. Ale nie było trzeźwego lekarza, który mógłby wyjechać do chorego karetką specjalistyczną, wysłano więc takiego, jaki był.

Pleszewska karetka pogotowia, która przyjechała do konającego chłopaka, nie miała zestawu reanimacyjnego. W karetce nie było lekarza. Przyjechał niedługo potem, wezwany przez ratownika. Żeby stwierdzić zgon pacjenta.

Ogólny optymizm

Zawód ratownika to ciężka robota. I fizycznie, i psychicznie.

Ratownicy nie zawsze radzą sobie ze stresem. Mówią, że często pomagają, nie widząc sensu. Mówią, że ideały, które mieli, rozpoczynając naukę, dawno się skończyły. Razem z poniżającą pensją.

Ale stawiane im wymagania są ogromne.

Czego wymaga się od ratownika medycznego poza specjalistyczną wiedzą?

„Cechy, które muszą charakteryzować ratownika, to stabilność emocjonalna, pozytywne nastawienie do ludzi, ogólny optymizm, komunikatywność, asertywność przy jednoczesnej umiejętności przyjmowania konstruktywnej krytyki,

Ambulans pijanego zółwia

W karetkach pogotowia ratunkowego jeżdżą kierowcy bez uprawnień, przemęczeni ratownicy bez wymaganej wiedzy i nie ma w nich lekarza.

odporność psychiczną i przewagę zadaniowego stylu reagowania w sytuacjach stresowych” – czytamy w ogłoszeniu o pracę dla ratownika.

„Poza tym liczy się dokładność, przywiązanie wagi do procedur, skrupulatność, szczególność” – piszą autorzy ogłoszenia.

W ostatnich latach odzew na takie ogłoszenie jest w zasadzie żaden. Ewentualni pracownicy karetki wiedzą, że od kilku lat ratownik w karetce jest zdany wyłącznie na siebie i życie pacjenta zależy tylko od niego.

Pozwalają na to przepisy. Karetek specjalistycznych jest niewiele i z każdym miesiącem coraz mniej. Brakuje lekarzy.

W praktyce minimalny skład osobowy w zespołach podstawowych (dwie osoby) jest normą w ZRM. Oczywiście pracodawca może (bo przecież zakazu nie ma) zatrudniać nie dwóch, lecz trzech ratowników w zespole, ale oznaczałoby to dodatkowe koszty i konieczność zatrudnienia nowych pracowników.

Obecnie stacje radzą sobie w ten sposób, że dokonują przesunięć między karetkami, uzupełniając braki. Bywa, że ratownik z Radomia jest wzywany do Warszawy. A pacjenci czekają.

System awaryjny

W ogromnej większości ponad połowa karetek w ogóle nie wyjeżdża na wezwania, bo nie ma z kim. Widać to nawet w Systemie Wspomagania Dowodzenia Państwowego Ratownictwa Medycznego – gdzie kilka karetek, które powinny wyjechać, ma status „awaria”.

– Po prostu nie ma składu, a dyrektorzy w ten sposób bronią się przed ewentualnymi karami – mówi Krzysztof, ratownik medyczny z warszawskiego ZRM.

Brak lekarzy uprawnionych, ale i chętnych do pracy w pogotowiu ratunkowym spowodował, że spada liczba karetek specjalistycznych. W 2016 r. było ich w kraju 562, teraz mamy ich już tylko 375. W praktyce jest ich jeszcze mniej, bo w zespołach „S” często też brakuje lekarza. Bywa, że karetka specjalistyczna, wyjeżdżająca do najpoważniejszych przypadków, jedzie na miejsce tylko z ratownikiem.

W powiecie brzeskim, gdzie funkcjonują 3 karetki: dwie typu „P” (podstawowego) oraz trzecia typu „S”, w połowie października karetka specjalistyczna (bo takiej wymagał stan pacjenta) pojechała do chorego bez lekarza. Stracił na tym chory. NFZ z wigorem przystąpił do karności ZRM. Skończyło się na tym, że zakład zmie-

nił status karetki „S” na karetkę „P” i problem się rozwiązał.

Podobnie dzieje się w Warszawie. Wojewódzka Stacja Pogotowia Ratunkowego i Transportu Sanitarnego wystąpiła ostatnio do wojewody mazowieckiego z wnioskiem o przekwalifikowanie kilku zespołów specjalistycznych w podstawowe, bo brakuje lekarzy do obsadzania dyżurów.

Gdy tworzono Państwowe Ratownictwo Medyczne, wiadomo było, że w kraju potrzeba 2500–2800 lekarzy specjalistów medycyny ratunkowej. Przez 20 lat tych specjalistów wykształcono około 1200. Obecnie „na karetce” pracuje tylko 514.

Dobokaretka

Według danych portalu Pracuj.pl średnia pensja osób na stanowisku ratownika medycznego to ok. 2250 zł netto. Co czwarta osoba zarabia mniej niż 1900 zł.

W stacjach pogotowia od ośmiu lat ratownicy są finansowani za tzw. dobokaretkę na tym samym poziomie. ZRM nie mają możliwości zwiększania wynagrodzenia, bo nie mają skąd wziąć pieniędzy.

Przy takich niskich zarobkach większość ratowników pracuje w kilku miejscach i nie ma kiedy odpocząć. Przemęczenie po 24 godzinach dyżuru, czasami prowadzące do omdleń w pracy, to problem w ratownictwie, o którym głośno się nie mówi. Są stacje, gdzie utrata przytomności pracującego ratownika nikogo już nie dziwi.

Zmęczenie ratownika to nie tylko jego problem. Wielokrotnie dochodzi do błędów, często poważnych, za które ratownik ponosi cywilną odpowiedzialność. „Przemawiają za tym m.in. samodzielność zawodowa ratowników medycznych, szeroki zakres medycznych czynności ratunkowych, do których w świetle prawa uprawniony został ratownik medyczny, ustawowe zobowiązanie ratowników medycznych do stałego podnoszenia swoich kwalifikacji, jak również nałożony na nich obowiązek przestrzegania praw pacjenta, w tym obowiązek wykonywania świadczeń zdrowotnych w sposób zgodny z aktualną wiedzą medyczną” – twierdzi Ministerstwo Zdrowia.

Ten przepis bardziej uderza w ratowników niż w lekarzy, gdyż medycy są ubezpieczeni na wypadek błędu lekarskiego, a ratownicy nie. Płacą więc odszkodowania z własnej kieszeni.

Żeby jeszcze bardziej zniechęcić do pracy ratowników, większość stacji pogotowia ratunko-

wego zatrudnia ich na umowach śmieciowych. Zwykle pracownika łączy z pracodawcą pewien rodzaj umowy cywilno-prawnej, która w ocenie ekspertów prawa pracy jest bardzo wątpliwa prawnie. Dochodzą też dodatkowe koszty, jakie ponoszą ratownicy, bowiem wszystko, co wiąże się z ich wyposażeniem, muszą zakupić sami. Kompletny ubiór wysokiej jakości, spełniający wszystkie normy bezpieczeństwa zarówno na okres letni, jak i zimowy wraz ze wszystkimi niezbędnymi dodatkami może kosztować nawet kilka tysięcy złotych.

Na gazie

Z pracy uciekają też kierowcy karetek. Za kierowcę zaczynają wsiadać osoby nieuprawnione do prowadzenia pojazdu uprzywilejowanego.

3 promile alkoholu miał kierowca karetki, który w Warszawie zderzył się z samochodem osobowym, a następnie dachował. Kierowca karetki nie miał również prawa jazdy. Podobnie było w Szczecinie, gdzie kierowca bez uprawnień miał ponad 2 promile.

Kierowca karetki z Koszalina, która przewoziła pacjentkę, został zatrzymany przez policję za jazdę po użyciu środków odurzających. Mężczyzna miał już wcześniej zatrzymane prawo jazdy i nigdy nie posiadał uprawnień do prowadzenia pojazdu uprzywilejowanego.

W Warszawie przez miesiąc odchodzi przeciętnie 50 kierowców. Tylko ofert pracy dla kierowcy z uprawnieniami jest w Warszawie ponad 30. Pracodawcy proponują śmieszne pieniądze, stawiane kierowcom wymagania też odstraszały chętnych. Teraz, gdy w trasę wyjeżdżają dwuosobowe składki, kierowca musi też być ratownikiem.

Dobra zmiana

Niedawno Ministerstwo Zdrowia wyszło na przeciw ratownikom medycznym. Zdecydowano, że będą mieli nowe mundury, za które zapłaci sami. Zgodnie z zaleceniami ministerstwa ambulansy będą też ładniejsze i bardziej rozpoznawalne. Ministerstwo zdecydowało, aby pomalować karetki ratownictwa medycznego na żółto.

Rząd PiS powołał też Pełnomocnika Rządu do spraw Państwowego Ratownictwa Medycznego. Będzie opłacany z kasy przeznaczonej na utrzymanie ZRM.

JOANNA SKIBNIEWSKA
askibniewska@redakcja.nie.com.pl

Daniszewska: – Niczego nowego nie potrzebuję.

Wołk-Łaniewska: – Ja też nie.

– Niczego nie kupuję.
– A ja owszem!

– Po cholere, jak nie potrzebujesz?
– Bo lubię. Lubię kupować i lubię mieć coś, czego przedtem nie miałam. Choć, obiektywnie rzecz biorąc, wystarczyłoby pogrzebać na dnie szafy i na pewno znajdę coś, o czym zapomniałam.

– To może wywal wszystko na podłogę i włóż w odwrotnej kolejności?
– To mogłoby być pewne rozwiązanie, ale problem polega na tym, że jak to wywalę na podłogę, to już tam zostanie. Co świadczy, że jestem osobą kreatywną i otwartą na nowości...

– Co ty powiesz?
– Owszem. Uczeń to odkrył.

– Jacy uczeni?
– Amerykańscy oczywiście, a jacy? Dr Kathleen Vohs z University of Minnesota z kolegami. Przeprowadzili niezwykle ambitne badanie, w którym posadzili pierwszą grupę badanych w zabałaganionym pokoju, a drugą w czystym i potem dali im piłeczkę pingpongową.

– To doprawdy przełomowy eksperyment psychologiczny.
– Prawda?

– Co wykazał?
– Że ci, co siedzieli w burdelu, mieli lepsze pomysły na to, co zrobić z piłeczką.

– Nawet nie zapytam.
– I dobrze, bo nie wiem, jakie. Wiem tylko, że niezależny panel ekspertów ocenił ich pomysły na nowy użytek dla piłeczki pingpongowej jako bardziej kreatywne. Z kolei ci, co siedzieli w porządku, byli bardziej skłonni dawać pieniądze na cele dobroczynne i wybierali jabłko zamiast cukierka.

– Co w zasadzie ten eksperyment miał udowodnić?
– Teza była taka, że burdel rodzi kreatywność, a praca w uporządkowanym otoczeniu skłania ludzi do postępowania zgodnie z normami społecznymi. I, jak wyjaśnił to współautor badania Joseph Redden, były to 2 przykłady tego, co „powinno się zrobić”: powinno się wybrać jabłko i dać datek na cele dobroczynne.

– Aha.
– Masz drwiący wyraz twarzy.

– Skąd.
– Masz! A to poważne amerykańskie badanie było! Opublikowane w bardzo poważnym piśmie naukowym zatytułowanym „Psychological Science”, wydawanym przez Stowarzyszenie Nauk Psychologicznych! W pierwszym eksperymencie wzięły udział 34 osoby, a w drugim 48! Badania ustaliły, że burdel na biurku jest pożyteczny, co czyni ten eksperyment nie tylko poważnym, ale i mądrym!

– Rozumiem... A co masz teraz na biurku?
– Patrząc od prawej: lustro do makijażu, patyczki do czyszczenia uszu, kosmetyczkę, metrowej wysokości wieżę z książek, głównie prof. Kołodki, bo lubię je mieć pod ręką, kuferek z biżuterią, torebkę, którą nosiłam w zeszłym tygodniu, teczkę z kserówkami z rosyjskiego, pałeczki do sushi, piankę do włosów, pudełeczko z nićmi, zmywacz do paznokci, czązki, pilnik, pusty imbir po naparze imbirowym, filiżankę, małe mydelko, zapalniczkę, pilota od telewizora i kieliszek wina.

Dialogi dam w drodze do kościoła

GOŚKA DANISZEWSKA grzebie w przeszłości – jak to w listopadzie. Przeszukuje szuflady i szafy. Przez to grzebie też w pamięci.
AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA trzyma się od szaf z daleka. I tak wszystko wypada na podłogę.



ILUSTR. KRZYSZTOF OLEJNIK

wym, filiżankę, małe mydelko, zapalniczkę, pilota od telewizora i kieliszek wina.

– Kieliszek to rozumiem, ale reszta?
– To są różne rzeczy, których używałam i przestałam akurat w okolicy biurka – a w zasadzie stołu, ponieważ piszę na stole jadalnym, albowiem w pokoju do pracy zrobiłam garderobę. Zanim powiesz coś złośliwego, pozwól, że zacytuję Einsteina: „Jeśli zabałaganione biurko oznacza zabałaganiony umysł, to co znaczy puste biurko?”.

– Ależ w ogóle nie miałam zamiaru mówić nic złośliwego. Graciarstwo w ogóle mnie nie dziwi. Ja w szufladach znajduję cuda, np. koraliiki z dzetów, które nosiłam jako umiarkowana hipiska, jaką byłam. Robię z tych znaleźsk kompozycję na ścianę. Łysy obejrzał i orzekł: „Wygląda to jak prawosławny ołtarzyk”. Na niego zawsze mogę liczyć.
– Małżeństwo to wspaniała instytucja. Mogę ci opowiedzieć o innym badaniu opublikowanym w „Psychological Science”.

– Nie, dziękuję. Wracając do mojego małżonka: ten młodzieniaszek orzekł ostatnio, że ma niemodne krawaty i musi sobie sprawić nowe – modne. Ponieważ żegnam się z Białymostkiem, to parę groszy wyrwę z majątku rodziców, dam mu więc na te krawaty. Czy nie sądzisz, Wołku, że jestem zbyt hojna?
– Ależ skąd! Według badania dr Oli Stawrowej z uniwersytetu w Tilburgu w Holandii, która przeanalizowała dane dotyczące 4400 par w wieku 50 plus, udostępnione przez amerykański Narodowy Instytut Badań nad Sta-

rzeniem, stopień zadowolenia z życia twojego partnera jest lepszym predyktorem twojej długowieczności niż twoje własne zadowolenie. Z zadowolonym mężem masz o 13 proc. więcej szans, że nie umrzesz w ciągu najbliższych ośmiu lat. Inaczej mówiąc, kupujesz te krawaty nie dla Urbana, tylko dla siebie.

– Aha. Skoro o szastaniu pieniędzmi mowa, to dostaniesz ode mnie książkę. Timothy Snyder napisał „Drogę do niewolności”.
– Dzięki, położę na szczycie piramidy. Na Kołodce.

– W dupie mam twoją piramidę. Przeczytaj, proszę. Ze zrozumieniem. I niech zajmie ci to trochę czasu. Książka nie jest łatwa, może nawet nieco tendencyjna, ale przerażająca. Co ja pierdołę – „tendencyjna”. Po prostu wybitny historyk zebrał dokumenty i fakty. Myślę, że nawet do takiego zakutego łba jak twój coś wejdzie.
– Aaaa, to o Rosji jest?

– Skąd wiesz?
– W jakiej sprawie mam, twoim zdaniem, zakuty łeb?

– Szczerze mówiąc, w wielu. Ale rzeczywistość, to jest o Rosji.
– Jak tak, to idzie pod Kołodkę.

– Skoro już jesteśmy przy twoich idolach: zachwycił mnie ostatnio Leszek Miller. Stwierdził, że PZPR była wysmienitą kuźnią najlepszych kadr, czego przykładem jest wybitny prawnik Stanisław Piotrowicz. Trafiła

ta wypowiedź na mojego ulubieńca Piaseckiego. No i zjadł on całą ironię wypowiedzi Leszka. Skończyło się serio i pryncypialnie. A przecież to śmiech zabija.
– Widziałam. Rzeczywiście, red. Piasecki nie do końca nadążał. Ale też byłam dumna z Leszka i jego odwagi w przyznawaniu się do Polskiej Ludowej i własnego życiorysu.

– Skoro o nostalgii mowa i o książkach... Wrócił do mnie poeta Andrzej Bursa. Jak to zwykle u mnie, na rowerze w mglisty i skurwysyńsko zimno-wilgotny poranek wiersze Bursy zaczęły jębać mnie w łeb. Niektóre wracały w całości, a inne w kawałkach. „Znak” wydał jego dzieła (prawie) wszystkie. Chwała mu za to. Gdy jest ci już zupełnie do dupy, Wołku, poczytaj sobie Bursę.
– Mnie nigdy nie jest do dupy. Ale Bursę jak najbardziej.

– To poczytaj, gdy jest ci świetnie. Będzie gorzej. Gwarantuję.
– Coś ty. Mnie akurat Bursa absolutnie podnosi na duchu. Doskonale opisuje mój stosunek do świata. „Poeta cierpi za miliony / od 10 do 13.20 / O 11.10 uwiera go pęcherz / wychodzi / rozpina rozporek / zapina rozporek / Wraca chrząka / i apiat / cierpi za miliony”. Może nie?

– Mnie się z kolei przypomniało: „Jaki miły i mądry facet (...) wyrozumiały i uprzejmy / cała anatomia jego twarzy / zdradzała lekkie wysiłki / ust: / by mądrzej i grzeczniej do mnie mówić / oczu: / by uważniej i uprzejmiej mnie słuchać / Taaak / naprawdę nie mogłem nie napluć mu w mordę”.
– Twarz.

– Co?
– W twarz, nie w mordę. Taka obelżywa subtelność.

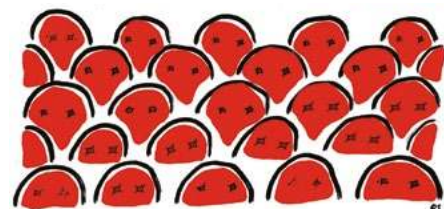
– Niech ci będzie. I jeszcze: „Milszy mi jest pantofelek / od ciebie ty skurwysynie”. Oczywiście pierwotniak pantofelek, a nie ubranie na stopy. Tak pisał Bursa w 1957 r. A w moim łbie to siedzi do dzisiaj od lat 60. A przecież Bursa nie widział wystąpień naszych mężów stanu.
– Najwyraźniej. Który z nich jest mądry, uprzejmy i uważnie słucha?

– Tak miło nastrojona wysłuchałam exposé. No i wreszcie się uspokoiłam i wyluzowałam. Otóż od Morawieckiego jako premiera do wiedziałam się, że ten mąż stanu będzie mnie jako staruszkę przeprowadzał przez buspasy – nie mylić z bajpasami – oraz pasy zwane zebrałami. To dopiero są, Wołku, sprawy wagi państwowej! Dziwne, ale źródłosłów „wagi” i „waginy” wydaje mi się podejrzenie zbieżne. Takie oto są skutki jazdy na rowerze we mgle. Dobrze, że ty nie umiesz jeździć na rowerze, nawet trzykołowym. Skoro nie jeździsz na rowerze, to kiedy ty myślisz, Wołku?
– Za to jeżdżę środkami komunikacji miejskiej. W chuj czasu na myślenie, zwłaszcza od kiedy jest prezydent Trzaskowski, który oszczędza na taborze i paliwie.

– To nie myślisz, tylko się wkurwiasz. Mało rozwojowe. Optymistyczny akcent na koniec: jest jedna akcja, która – poza udupieniem Dudy jako prezydenta – mnie wciągnęła na całego. A to dlatego że uprawiam ją od kilku lat. „Nie wykaszajmy motyli”. Jak przekonać buraków, żeby odstawili kosiarki? Jak ich przekonać, żeby przestali warczeć i smrodzić dmuchawami? Co im są winne biedne jesienne liście i pięknie kwitnące chwasty? □

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

TRYBUN@ LUDZI



Adrian Kosiniak-Błoński na prezydenta!

Facebook

Bogusław Strzelecki: Jeden w Trzech Osobach. Padam na kolana i głosuję.
Krzysztof Wielechowski-Olszak: Kandydat ciekawy, aczkolwiek swój głos oddam na Jana Pawła Pudzianowskiego-Małysza. Bardziej polski, nasz.
Michał Kozik: Kilku tatusiów dodało co swoje do koktajlu i powstała taka hybryda?
Anna Maria Preiss: Nie lepiej od razu brać Frankensteiną?
Mateusz Kozub: Obywatelu, głosuj 3 razy tak!
Zbigniew Turski: Adriana za prezydenta to teraz mamy.
Aleksander Polkowski: To Duduś nie ma szans.

Forum

BOG: Charyzmę wszyscy mają podobną – może więc Suski?
WLR: Bez różnicy. Urząd Prezydenta wyłopotał się na wietrze.
MMM: Kto by to był, i tak prezes rozdaje karty.
Komandor: Bliźniaki już były, to teraz trojaczki nam redakcja chce zafundować?

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE” i Facebooka.



Rys. TOMASZ WIATER



1. Ks. Humberto Rodriguez, proboszcz kościoła Objawienia Pańskiego w Zoquite pod Guadalupą, z dumą prezentuje nową figurę Dzieciątka Jezus. Dzieciątko ma 6,5 m wzrostu, waży 800 kilo i jest największym Jezuskiem na świecie, detronizując zaledwie 5-metrowego Jezuska z Nezahualcōyotl. Ks. Rodriguez zapewnia skromnie, że nie miał zamiaru bić rekordu, po prostu zamówił Dzieciątko pod wymiar kościoła, który ma 8 m od posadzki do powaly. Jezusek z Zoquite został wykonany przez rzeźbiarza Romána Salvadora Barrauetę w warsztacie w Chimalhuacán za 219 tys. peso (ok. 43 tys. zł) i aby dostać się do swojej nawy, przewędrował 600 km. Dumni parafianie szyją teraz dla dzieciątka 9-metrowe giezło, internet zaś z zachwytem odnotowuje jego uderzające podobieństwo do młodego Phila Collinsa.

2. Nowy brazylijski błogosławiony, ks. Donizetti Tavares, był to kapłan „mocno przesiąknięty zapachem swoich owiec” – mówił podczas mszy beatyfikacyjnej prefekt Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych kardynał Angelo Becciu. Jednak wstęp do poczekalni dla świętych zagwarantowała Donizettiemu nie szczególna woń, tylko lotność. „Gdy sprawował mszę w Wielkim Tygodniu, mówiąc o Chrystusie, który wstąpił do nieba, sam nieświadomie uniósł się pół metra nad ziemią” – informują media katolickie. Ksiądz posiadał ponadto „dar bilokacji” – jednocześnie odprawiał mszę w kościele i przechadzał się po mieście – a także ma na koncie ponad 700 cudownych uzdrowień. Ks. Tavares nie jest postacią ze średniowiecza: żył w latach 1882–1961. Jego lewitację odnotowano w roku 1958.

3. Gábor Joya, lekarz pediatra i działaczka hiszpańskiej ultrapravicowej, sławiącej Franco partii Vox, wymyśliła nowy sposób na walkę z aborcją. Czatuje na parkingach przed madryckimi klinikami położniczymi w mikrobusie wyposażonym w ultrasonograf i każdą kobietę, którą podejrzewa o zamiar przerwania ciąży, usiłuje namówić na badanie. Po zliberalizowaniu ustawy antyaborcyjnej przez lewicowy rząd w 2010 r. molestowanie kobiet przed klinikami położniczymi przez „obrońców życia” stało się w Hiszpanii tak powszechne, że 62 organizacje praw kobiet wystąpiły z wnioskiem o uznanie tego za przestępstwo. Partia Vox, poza ochroną życia, wzywa do „rekonkwisty”, czyli wyparcia Maurów z Półwyspu Iberyjskiego.

4. American Medical Association, największa i najstarsza organizacja lekarska w USA, opowiedziała się za ogólnokrajowym zakazem tzw. terapii konwersyjnej, czyli leczenia z pedalstwa. Organizacje katolickie protestują. Konferencja Katolików z Massachusetts ogłosiła, że zakaz odbierze rodzicom prawo do zaangażowania terapeutów, którzy mogą pomóc ich dzieciom, przeżywającym „niechciany pociąg do tej samej płci”. Ultrakonserwatywny think tank Heritage Foundation stwierdził, że ten „ideologiczny zakaz nie jest wymierzony w szkodliwe praktyki, ale w określone wartości”. Wśród najczęstszych efektów terapii konwersyjnej wymienia się okaleczenie, np. w wyniku lobotomii, zaburzenia lękowe, zespół stresu pourazowego, zinternalizowaną homofobię, zaburzenia depresyjne i próby samobójcze.

5. Prezydent Zambii Edgar Lungu wezwał obywateli kraju do modlitwy o deszcz. Nie zawahał się także wskazać tych, których obarczył winą za jej ewentualną nieskuteczność. „Niestety są tacy Zambijczycy, którzy nie chcą prosić o pomoc Wszechmogącego Boga” – ogłosił z wyrzutem. To nie pierwszy raz, gdy zambijscy ateści rozgniewali prezydenta. W październiku usiłowali zorganizować swój zjazd w ogłoszonym przez Lungu Narodowym Dniu Modlitwy i Postu. Przy tej okazji rząd wezwał właścicieli lokali z wyszynkiem, żeby otworzyli bary o szóstej po południu, a nie jak zwykle o dziesiątej rano, „żeby umożliwić społeczeństwu uczczenie tego dnia w poważny i trzeźwy sposób, pamiętając, że Zambia jest krajem chrześcijańskim”. Do obywateli rząd zaapelował, aby „skoncentrowali się na modlitwie i poście w przeciwieństwie do uczęszczania do barów”.

6. Teleewangelista Frank Amedia wytłumaczył Amerykanom, kto zmierza do impeachmentu. Nie, wcale nie demokraci – to Szatan osobiście. „Toczymy kataklizmiczną duchową bitwę z siłami, które próbują powstrzymać powrót Chrystusa. Ten człowiek dosłownie w pojedynkę zatrzymał te siły. Możemy przypisywać im różne twarze tutaj na ziemi lub możemy zrozumieć, że są to siły duchowe”. Amedia, „specjalny łącznik prezydenta Trumpa ds. polityki chrześcijańskiej”, głosi, że dzięki jego modlitwie noworodek wyhodował 1,5 nerki. „Matka zadzwoniła do mnie po pomoc. Zapytałem: – Czy wierzysz? Ona powiedziała: – Dlatego do ciebie dzwonię. Powiedziałam: – Oświadczam, że dziecko wyhoduje nerki. Zadzwoniła tydzień później. Powiedziała: – Pastorze, pierwsza nerka jest wyhodowana. Powiedziałem: – Nie skończyliśmy, idzie druga”.

7. Nicola Corradi i Horacio Corbacho – księża z argentyńskiej filii Instytutu Antonio Provalo, kościelnego zakładu dla głuchoniemych dzieci – zostali skazani na ponad 40 lat więzienia za gwałcenie podopiecznych. To wierzchołek góry lodowej – wykorzystywanie dzieci, które nie mogły o tym nikomu opowiedzieć, było powszechną praktyką w placówkach instytutu. „Gdy miałem 11 lat, mnich, który pracował w instytucie jako pedagog, zaczął uczyć mnie specjalnych tajnych znaków, takich jak masturbacja, fellatio, penis i odbyt. Z początku nie rozumiałem, po co. Stało się to jasne, gdy jeden z kapłanów wykonał sekretny znak dla fellatio, po czym wsadził mi penisa do ust” – zeznaje jedna z ofiar. Nadużycia trwały latami dzięki pomocy ówczesnego kardynała Jorge Mario Bergoglio, który dyskretnie przenosił pedofilów między placówkami.

Barka przegryziona kremówką

Po wszczętej przez Polaków schizmie papieżem powinien zostać Jego Eksceleńcja Generał Leszek Sławoj Głódź – oficer, męczennik i dżentelmen.

O tym, że polskiemu Kościołowi coraz bardziej nie po drodze z Watykanem, wiadomo od dawna. Czarę goryczy przełał zakończony niedawno synod poświęcony Amazonii. Przy okazji, zamiast zająć się analizą twórczości ojca Rydzyka lub abepe Marka Jędraszewskiego, przywódcy światowego Kościoła wszczęli debatę na temat ekologii, kapłaństwa kobiet i zniesienia celibatu. Konstatacja: żonaci mężczyźni powinni być wyświęceni na księży, kwestię kapłaństwa niewiast należy rozważyć, do katalogu grzechów trzeba dopisać występki przeciw środowisku. Papież (na śródowej audiencji na pl. św. Piotra) poparł wszystkie te pomysły, przywołując przykład Grethy Thunberg, „młodej osoby zaangażowanej w ochronę przyrody przed dewastacją”. Najwyraźniej zapomniiał, że Thunberg w Polsce została zdemaskowana, dzięki czemu wiadomo, że to „chora dziewczyna, sterowana przez rodziców i wykorzystywana przez lewaków”. Na domiar złego w czasie obrad synodu do watykańskich ogrodów wtaszczone drewnianą rzeźbę przedstawiającą nagą babę w ciąży, czyli Pachamamę, inkaską boginię płodności. Pachamamie towarzyszyła figurka gołego mężczyzny z wzwiedzionym dumnie członkiem, przy czym golasa z erekcją postawiono nieopodal figury Zawsze Dziewicy, co było bluźnierstwem w czystej postaci. Co zrobił papież? Cóż, nie roztrząsał pogańskich artefaktów z okrzykiem: „Apaga, Satanas!”.

Przeciwnie – dał się namaścić indiańskiej szamance.

Polska iskra

Stawianie bożków z wzniesionymi członkami na równi z figurami Mamy Jezusa z oczami wzniesionymi ku niebu jest nie do pomyślenia. Stawianie bezbożnych i wyuzdanych szamaneł ponad kapłanami formatu bogobojnego i skromnego arcybiskupa Głódzia to cios w podbrzusze narodu polskiego. O powadze sytuacji niechaj świadczy fakt, że o synodzie napisała „Warszawska Gazeta”. „Większości polskich katolików pozostał po nim jedynie niesmak albo wręcz pytanie, czy w Watykanie nie zaczął aby urzędować szatan. Szokujące? Być może, ale nie bezpodstawne. Polska, od wieków nosząca zaszczytny tytuł Przedmurza Chrześcijaństwa, za takim Watykanem nie pójdzie” – stwierdziło pismo ukazujące się z mottem: „My chcemy Polski polskiej”.

Nic dziwnego, że Jan Pospieszalski szatańskiemu synodowi poświęcił odcinek „Warto rozmawiać”. I że najczęściej używanym słowem podczas programu był rzeczownik „schizma”.

O tym, że iskra, od której świat stanie w ogniu, padnie nad Wisłą, głoszą przepowiednie wszystkich liczących się, czyli polskich wizjonerów.

Bunt przeciw Watykanowi rozpocznie się w Polsce, bowiem papież dostarczył nam aż nadto powodów do schizmy. Oto nakazuje Kościołowi, by przestał dyskryminować gejów, żąda, żeby homoseksualistów traktować z szacunkiem

i oznajmia pederację: „Bóg takiego cię stworzył i takiego cię kocha”, co wobec nauki Kościoła polskiego jest jawną herezją, bo, jak wiadomo, Bóg każe pederastów uśmiercać.

Atleta nie pękał

Lobby gejowskie w Watykanie rośnie w siłę, od czasu gdy Joseph Ratzinger ustąpił ze stanowiska papieża. Oficjalny powód rezygnacji:



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

zły stan zdrowia. Ratzinger rzadko pokazuje się publicznie, a jeśli już się pokaże, to gołym okiem widać, że jest w lepszej formie niż Jan Paweł II w końcowej fazie urzędowania. Atleta Pana Boga rezygnacji jednak nie złożył i gdyby nie zgon, do dziś śpiewałby „Barkę”, przegryzając kremówką z Wadowic. Prawda jest taka, że Benedykt XVI porzucił robotę, bo wystraszył się watykańskiej kasty lewaków, pederastów i propagatorów ideologii LGBT. Gdy poszedł pod kapelusz, zboczona hydra natychmiast podniosła łeb i dziś trzyma go w niebiesiech. Lecz Polacy nie porzucili posterunku – mimo z zewsząd ciskanych kłód tkwiąc mężnie przy krzyżu i gdy wybije godzina powstania, papistom odprawę zgotują. Jeśli papież posłucha lewackiej hołoty i pozbawi stanowiska abpe Sławoja Głódzia, odprawa będzie sroga.

Duchowy przywódca

Gdy do domu Pana odszedł arcybiskup Juliusz Peatz, pasterz bez reszty oddany swej trzódce, w Polsce nastała wielka smuta, bowiem aby podczas badania *per rectum* doznać prawdziwie mistycznych wzruszeń, wiernym nie pozostaje nic innego, jak udać się do urologa. Osierocony i pogrążony w żalobie na-

ród kolejnego ciosu nie zdzierży, wrogowie Kościoła i ojczyzny dobrze to wiedzą, dlatego działania zmierzające do pozbawienia owczarni przywództwa intensyfikują, szczególnie usilnie atakując Jego Eminencję Generała Sławoja Leszka Głódzia. Metropolita gdański nie przypadkiem stał się obiektem wściekłego ataku – jest niemal ostatnią nadzieją białych w kulturowej wojnie z tęczowymi i kapłanem cieszącym się zasłużoną estymą żywiołu polskiego. To wręcz oprócz abpe Marka Jędraszewskiego, ojca Tadeusza Rydzyka i naczelnika Jarosława Kaczyńskiego, duchowy przywódca narodu, a także murowany kandydat na papieża po schizmie, ku której zmierza Watykan pod batutą Franciszka. Innego światelka w tunelu nie widać, jeśli więc Polska ma być polska, a świat wolny od zgnilizny moralnej, po rozłamie i ukonstytuowaniu się nowych władz kościelnych na papieskim sedesie musi zasiąść Jego Eksceleńcja Arcybiskup Generał Sławoj Leszek Głódź, to oficer, męczennik i dżentelmen, a także weteran walk z tęczą zarazą.

Pozbawienie go urzędu metropolity lub choćby obrzucanie błotem jest zatem dla szerzycieli ideologii LGBT nie lada gratką, co najtrafniej ujął ojciec Rydzyk, perorując, iż „piorun nigdy nie uderza w to, co małe”.

Siła propolska

Piorun – przypomnijmy – uderzył w to, co wielkie, śląc list do papieża. „Jako wierni Kościoła Gdańskiego, w poczuciu odpowiedzialności za wspólnotę Kościoła Katolickiego, nie możemy dłużej milczeć. Od długiego czasu jesteśmy głęboko przekonani, że Arcybiskup Sławoj Leszek Głódź, Metropolita Gdański, stracił moralną wiarygodność, niezbędną do pełnienia posługi biskupa diecezjalnego i jest dla wiernych przyczyną zgorzienia. W związku z tym apelujemy do Księdza Arcybiskupa, aby złożył rezygnację z urzędu, a Ojca Świętego Franciszka prosimy o jej rozpatrzenie i przyjęcie” – napisano w epistole. Rzekomi wierni Kościoła gdańskiego organizują także cykliczny protest nieopodal kurii, szurmując hasłem: „Odzyskajmy nasz Kościół”.

W istocie protestują i odwołania arcybiskupa Głódzia domagają się przebiehańcy. Na szczęście knowania uzurpatorów odkryła telewizja publiczna. „Abp Głódź jest siłą konserwatywną i propolską w Gdańsku, która bardzo przeszkadza wielu interesom, zarówno władz miasta, jak i interesom niemieckim. Kampania przeciwko abp. Głódziowi jest przemyślana i zorganizowana, schemat już znany: najpierw atak medialny, publiczny lincz, potem rzekome protesty wiernych pod hasłami walki o dobro Kościoła. Jedną z protestujących brała udział w gdańskim Marszu Równości przebrana za tęczową Madonnę” – poinformowała TVP.

Niewiasta służąca Niemcom w bluźnierczym przebraniu rzecz jasna nie ma prawa domagać się od papieża, aby usunął z Gdańska siłę propolską uosabianą przez generała Głódzia. Co tu kryć: w czasach panowania Jana Pawła II, największego z rodu Słowian, list z żądaniem wywalenia arcybiskupa niechybnie trafiłby na stos, ale po Franciszku wszystkiego można się spodziewać. Także tego, że nie ogląda polskiej telewizji.

Tak czy siak papieża czeka test: jeżeli wystąpi przeciw polskości i abpe Głódzia wywali, dostarczy dowodu, że jest opętany i Watykanem rządzi niedarzący Polaków sympatią Szatan. Jeżeli list niemieckich prowokatorów oleje i Głódzia oszczędzi, zasygnalizuje, że pojmuje rolę narodu polskiego w dziejach zbawienia, co – gdy wybije godzina rozłamu – może być potraktowane jako okoliczność z lekka łagodząca.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK
mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

Pan Filary

Jak ktoś ma szczęście, to i byk mu się ocieli. Zwłaszcza jak ktoś ma szczęście nazywać się Tomasz Sakiewicz.

„Polska elita ekonomiczna musi być inna, nowa” – straszył we wrześniu prezes PiS na wiecu wyborczym w Szczecinie. Dał tym do zrozumienia obecnej elicie, że „Teraz, kurwa, my”. „Biznesmeni też mają przed sobą wiele różnych przeszkód, które można usunąć, i mamy też w biznesie wiele szklanych sufitów, których dobrze, uczciwi biznesmeni nie są w stanie rozbić i przejść wyżej” – trapił się prezes-deweloper. Dobrzy i uczciwi biznesmeni to oczywiście ci związani z PiS lub przynajmniej na niego niepsioczący. Chętnym pomoże odpowiednio skalibrować poglądy nowe medium redaktora naczelnego „Gazety Polskiej”.

Wśród ssaków

otaczających Jarosława Kaczyńskiego Sakiewicz jawi się jako prawdziwy człowiek renesansu. Nie może być tuzinkową postacią gość, któremu latorośl do chrztu trzymał Antoni Macierewicz. I rzeczywiście, Sakiewicz odnajduje się na różnych polach – zawsze z sukcesami. Czego się dotknie, zamienia w złoto. A właściwie w złote. Setki tysięcy, miliony złotych. Nawet najbardziej karkołomne przedsięwzięcia okazują się strzałami w dziesiątkę. Weźmy portal o Puszczy Białowieskiej – Puszcza.tv. Pies z kulawą nogą tam nie zagląda, nawet kornik drukarz szerokim łukiem omija, a fundacja Sakiewicza Niezależne Media wymodliła na ten projekt ponad 7 mln zł z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej.

W szranki z Sakiewiczem w dziedzinie dojenia tego funduszu może stanąć tylko Rydzyski, który wychleptał ze źródelfka NFOŚiGW 26 baniek

odszkodowania za cofnięcie dotacji na geotermię. Portal Sakiewicza o Puszczy Białowieskiej odniósł

oszałamiający sukces.

Towarzyszący mu kanał YouTube subskrybuje powalająca liczba 360 osób. Dla porównania konto „Tygodnik NIE” obserwują ponad 84 tysiące użytkowników YouTube’a.

U Sakiewicza można oglądać na żywo transmisję z puszczy za pośrednictwem jednej z trzech kamer zawieszonych w dziewczym lesie. W chwili pisania tego artykułu jedną z transmisji ogląda 5 osób, drugą 3, a trzecia nie nadaje na żywo.

Dołączyłem więc na chwilę do elitarnego grona ośmiu osób, które obcho-

dz takiego przedsięwzięcia nie powstydziłby się sir David Attenborough. Na stronie można się też zapisać do Klubu Miłośników Puszczy, ale na razie trudno znaleźć jakieś ślady jego działalności, mimo iż zapowiadano, że klub ma współpracować z Klubami „Gazety Polskiej” i Kołami Radia Maryja. Nic z tego nie wyszło. Można za to za darmo zostawić Sakiewiczowi swoje dane. Być może chodzi o to, że klub mieli tworzyć „najaktywniejsi użytkownicy serwisu”, o co trudno, gdy nie ma prawie żadnych. Śp. Jan Szyszko patrzy z okna Domu Ojca i pęka z dumy, jak pięknie kontynuuje się jego dzieło.

W stworzonej przez Sakiewicza Strefie Wolnego Słowa powiedzieć można wszystko, co dobre, tak jak na temat PiS. Teraz, gdy partia chce stworzyć nowe elity biznesowe, komuż powierzyć stworzenie podręcznika nowej ekonomii, dekalogu dla nowej generacji przedsiębiorców? No pewnie, że Sakiewiczowi. Doświadczenie ma. Szczególnie cenne może być w tym wypadku bajkopisarstwo, które Sakiewicz opanował nie tylko pod-

czas pisania felietonów do „Gazety Polskiej”. Szef Strefy Wolnego Słowa pisze też najprawdziwsze bajki, co szerzej opisał red. Maciej Mikołajczyk w publikacji „Odbierzcie jej Nobla!” („NIE” nr 34/2019). Do postulowanego tam odebrania Oldze Tokarczuk literackiej Nagrody Nobla i przyznania jej Sakiewiczowi dorzucam apel, aby redaktorowi naczelnemu „Gazety Polskiej” przyznać też

Nobla z ekonomii.

Portal Puszcza.tv powstał, bo „zdecydowana większość organizacji zajmujących się ochroną przyrody, działających w polskiej przestrzeni publicznej, ma profil lewicowy, niektóre współpracują z partiami politycznymi, stowarzyszeniami reprezentującymi lewicową bądź liberalną perspektywę społeczno-państwową”. Nie lepiej jest w dziedzinie gospodarki. Media zajmujące się finansami opanowane są głównie przez liberałów, którzy negują poczynania rządu i wskazują na krótkowzroczność ministrów i premiera Morawieckiego. Potrzeba zatem medium równoważącego te krzywdzące dla PiS opinie. Któż pomoże w tym lepiej niż Sakiewicz – ikona dobrze wydawanych państwowych pieniędzy?

Należąca do Sakiewicza zyskowna spółka Słowo Niezależne uruchomiła portal FilaryBiznesu.pl. Strona dopiero się rozkręca. Na pierwszy rzut oka trudno się zorientować, że to kolejna inicjatywa Sakiewicza. Przypomina inne portale dotyczące biznesu. Mimo krótkotrwałej obecności w sieci FilaryBiznesu.pl stały się już miejscem prorządowej propagandy. Promowany jest np. wywiad z nowym ministrem finansów Tadeuszem Kościńskim – jeszcze sprzed nominacji na ministra. „W ubiegłym roku odnotowano najwyższy w ostatnim dekadzieleciu wzrost dochodów zarówno z podatku PIT, jak i z podatku CIT” – informuje Kościński, co jest oczywiście wynikiem sprawnej polityki rządu Morawieckiego. „Powyższy wzrost to wynik zarówno dobrej sytuacji makroekonomicznej, jak również szereg działań mających na celu zwiększenie stopnia przestrzegania przepisów podatkowych, ograniczających straty z tytułu oszustw oraz unikania opodatkowania” – dodaje, żeby

nie było wątpliwości. Nowy minister i stary-nowy premier to – wszystko na to wskazuje – uosobienie nowych elit ekonomicznych z wizji Kaczyńskiego. Powiązania ze światem finansjery przestają być ważne, gdy banksetrzy są związani z obozem dobrej zmiany. Jest też miejsce na

obrzydzanie opozycji.

Oprócz tego, jak uzyskać Kartę Dużej Rodziny, internauta dowie się o niejasnych finansach Instytutu Bronisława Komorowskiego. Czytelników zainteresowanych sytuacją gospodarczą kraju i możliwościami inwestycyjnymi na pewno zainteresuje fakt, że portal Interia.pl opisał sprawozdania finansowe fundacji byłego prezydenta. Ale

tak to już z Sakiewiczem jest: jak nie dowali PO, to chory chodzi. Nawet gdyby mu kazać stworzyć portal o gotowaniu, to szkalowanie opozycji zajęłoby tam ważne miejsce. Zresztą co tam kazać. Dowodzona przez Sakiewicza Telewizja Republika emitowała przecież program „Kuchnia polska”, prowadzony przez Cezarego Gmyza, gdzie politycy gotowali wspólnie z korespondentem TVP w Berlinie. Macierewicz, krojąc warzywa, dyskutował o „zbrodni smołęńskiej”,

niestety nie przygotował na wizji słynnych parówek.

Media i imprezy Sakiewicza są hojnie wspierane z budżetowej skąpy za pośrednictwem spółek skarbu państwa. Zapewne i „Filary Biznesu” okażą się żyłą złota. W końcu to portal branżowy, nikt więc nie będzie mógł zarzucić, że publikowane na stronie reklamy czy ogłoszenia nie dotrą do właściwych adresatów. Odciążona zostanie nieco pękająca od nich w szwach „Gazeta Polska”.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Rozpasanym Europejczykom handel ludźmi wydaje się niechlubną przeszłością. Nic bardziej mylnego. Kucharke, sprzątaczkę czy kierowcę kupić dziś można w internecie. Szambo cyfrowej przestępczości coraz częściej wylewa się w dostępnych zwykłym śmiertelnikom miejscach.

Mija właśnie miesiąc od głośnego śledztwa dziennikarzy arabskiego oddziału BBC. Podając się za nowo przybyłych mieszkańców Kuwejtu, umawiali się z ludźmi z internetowych ogłoszeń, którzy byli w posiadaniu prywatnych niewolników. Udało im się odwiedzić 12 osób, które podzieliły się cennymi radami, jak parobka traktować – ile kieszonkowego płacić, ile jeść dawać, gdzie paszport skitać i czy od święta pozwolić do rodziny zadzwonić.

Dreszcz po dupsku przeszedł przede wszystkim Google i Apple. To one do swoich sklepów z mobilnymi aplikacjami wpuściły programy, w których pośród ofert samochodów czy mebli bez problemu znaleźć można posmutniałe lica ludzi, którzy są żywym towarem. Facebook też bez winy nie jest. Na należącym do firmy Instagramie znaleźć można było pod tagiem #pokójkinawymianę kobiety, które sprzedawano na domowe służki. Po aferze hashtag zablokowano.

Na komórki nadal można pobrać aplikacje 4Sale i Haraj, gdzie znajdowały się ogłoszenia. Pierwsza usunęła część serwisu z pomocą domową, druga aferę ma w dupie. 4Sale wyczyszczono z handlu ludźmi, jednak nie dość skutecznie. W 5 minut udało mi się znaleźć kilkadziesiąt ogłoszeń z ludźmi na sprzedaż.

Jak znaleźć ogłoszenie? Wystarczy telefon i umiejętność przekopiowania treści do internetowego tłumacza, aby rozszyfrować arabskie szlaczki. Żadnego logowania, podawania danych, weryfikacji numerem telefonu albo mailem. Kilka kliknięć, jeden telefon i jesteśmy umówieni na zakup niewolnika. Zupełnie anonimowo.

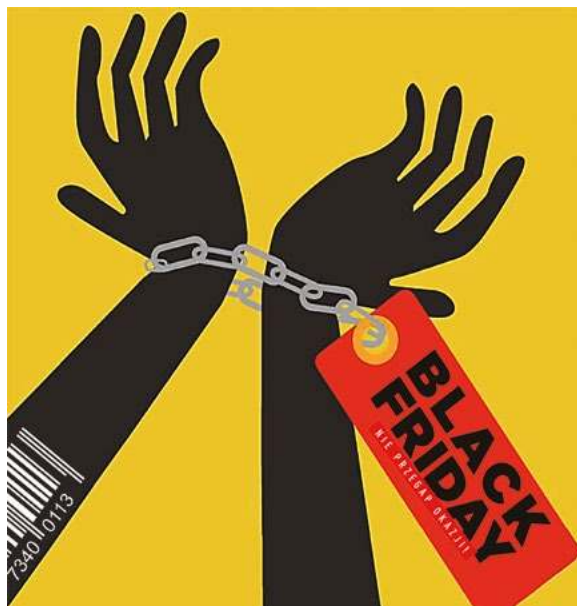
Niewolnik z przeceny

Cena? Niedrogo, mimo że Kuwejt kojarzy się z arabskimi szejkami i wakacjami, po których schodzi skóra z pleców. Najdroższe oferty, jakie widziałem, to 1000–1500 dinarów kuwejskich, czyli od 13 do 20 tys. zł. Oczywiście trzeba wykarcić, napoić, dać gdzieś spać. Ba, trzeba nawet płacić – około stu dinarów miesięcznie, ale bez obawy. W ofertach jest wszystko napisane, w niepożądane koszty nie da się więc wpakować.

Przejrzałem ze 100, może 200 ofert. Pośród tureckich dywanów, usług barberskich czy niepokojąco wyglądających reklam masażu wszystkich części ciała, uwagę przykuwały paszporty. Handlarze niewolnikami w tańcu się nie pierdola. W czasach gdy u nas za nagranie czyjegoś kichnięcia można się procesować, w Kuwejcie szejkowie przeglądają na swych złotoplatynowo-diaamentowych telefonach oferty niewolników z załączonymi zdjęciami z paszportów, praw jazdy i innych dokumentów.

Przebieierać można bez końca. Kobiety, mężczyźni, młodzi, starsi. Różne narodowości, rasy, usługi, umiejętności i ceny. Młodzieńcu dziewczynę z Wybrzeża Kości Słoniowej znalazłem za 700 dinarów. Gotuje, sprząta, dzieci popilnuje. Wygląda na 15 lat. Kosztuje tyle, co stary samochód – ok. 9000 zł.

Szambo życia cyfrowego wylało już dawno. Informacji jest za dużo, nie da się ich skutecznie przefiltrować, a to idealne warunki do rozkwitu przestępczości. Rok temu serwis INN Poland podał informację, że cały internet zajmuje 10 jottabajtów. Czyli 10²⁴ gigabajtów. Jeden gigabajt to około tysiąc piosenek albo jeden film. W ciągu sekundy tych danych przybywa o kolej-



ne 20 GB. Nawet jeśli te liczby nie są precyzyjne, to pokazują skalę, z jaką rozrósł się cyfrowy świat, a co za tym idzie, jak rozrosła się przestrzeń, którą wypadałoby czasem kontrolować. Chociażby po to, żeby pośród ofert kosiarek i wybielania zębów nie natykać się na niewolników.

To, co kiedyś kryło się w ciemnym zaułku sieci, zwanym dark webem, dziś śmiało można znaleźć w przestrzeni ogólnodostępnej. Dark web lub dark net wymaga specjalnego oprogramowania i wiedzy, aby do niego się dostać. Kryje się w nieindeksowanych przez normalne wyszukiwarki stronach, skrzętnie zabezpieczanych i zazwyczaj nieuchwytnych nawet dla specjalnie wyszkolonych służb specjalnych, które starają się dark net kontrolować. Jest tam dziecięca pornografia, handel narkotykami, ludźmi, bronią, zlecenia napadów czy zabójstw – towary do-

stępne dla wyselekcjonowanych użytkowników. Tych, którzy w półświatku są zasłużeni. Infiltracja tego środowiska jest trudna, kosztowna, ale możliwa i skuteczna.

Współczesnym problemem jest fakt, że

anonimowość internetowa jest dostępna dla każdego na wyciągnięcie ręki. To z kolei wypycha półświatek na powierzchnię cyfrowej rzeczywistości, ułatwiając mu funkcjonowanie.

Współcześni pedofile nie obawiają się korzystać z komunikatorów internetowych do wabienia nieletnich, a islamscy terroryści nawet spisywali swoje własne instrukcje obsługi popularnych usług, które przy odrobinie ostrożności były wygodnym sposobem na nieuchwytnie dla służb przekazywanie sobie rozkazów i informacji.

Prawie 5 lat temu, gdy ISIS było w swojej szczytowej formie i wydawało się realnym zagrożeniem także dla bezpieczeństwa Europy, Centrum Zwalczenia Terroryzmu z West Point opublikowało 34-stronicową instrukcję – podręcznik wojowników do bezpiecznego korzystania z komunikatorów internetowych. Szyfrowane dane są niedostępne nawet dla właścicieli serwisów, a gdy służby specjalne chcą uzyskać dostęp do urządzeń przestępców, muszą prosić producentów tych urządzeń o współpracę. Tak było w najgłośniejszym dotychczas przypadku zabójcy z San Bernardino, który zabił 14 osób. Firma Apple odmówiła FBI podania kodu zabezpieczającego do telefonu sprawcy. Miejsce zajęło służbom specjalnym złamanie szyfru.

Oczywiście mowa tu o sytuacji, w której do tragedii już doszło, a sprawca jest aresztowany. Ale co się stanie, gdy służby będą chciały zapobiec przestępstwu? Czy rzeczywiście globalne koncerny mają prawo odmawiać współpracy ze służbami? I choć to pytanie retoryczne, weźmy pod uwagę, że warte dziś ponad bilion dolarów Apple to prawie dwukrotność naszego rocznego PKB. Kto w tej sytuacji rozdaje karty?

ADAM LISZEWSKI

Między stadionem i kawiarnią literacką.

Rzeźba „Dyskobol”, wykonana przez greckiego artystę Myrona w V w. p.n.e., stanowi symbol związku kultury wysokiej ze sportem. Były takie okresy, nie tylko w starożytności, gdy ten związek był bardzo silny i widoczny.

W latach 1912–1948 medale olimpijskie przyznawano nie tylko za bieganie, skakanie, rzucanie czy wiosłowanie. Odbływały się Olimpijskie Konkursy Sztuki i Literatury. Dyscypliny, w których rywalizowali twórcy, to: poezja, epika, rzeźba, malarstwo, architektura oraz muzyka. Polacy odnosili w nich niemałe sukcesy. Trudno powiedzieć, dlaczego najbardziej pamięta się o złotym medalu Kazimierza Wierzyńskiego w konkursie poetów w 1928 r., choć nie był to jedyny najwyższy laur olimpijski Polaka w tych – jeśli można użyć sportowego sformułowania – zmaganiach. Złote medale zdobyli także Józef Klukowski (rzeźba, 1932 r.) i Zbigniew Turski (muzyka, 1948). Srebrne medale – Janina Konarska (grafika, 1932) i Józef Klukowski (rzeźba, 1936). Brązowe – Władysław Skoczylas (grafika, 1928) i Jan Parandowski (proza, 1936). Można więc śmiało powiedzieć, że w tej specyficznej nieco konkurencji Polska zaliczała się do światowej czołówki – jak dzisiejsi skoczkowie narciarscy czy siatkarze.

Po Igrzyskach Olimpijskich w Londynie z inicjatywy ówczesnego przewodniczącego MKOl zaprzestano organizowania konkursów sztuki i literatury. Trudno się temu dziwić. Łączenie sztuki ze sportem było działaniem sztucznym, podyktowanym chęcią, choćby nawet na siłę, nawiązywania do tradycji starożytnej Grecji, gdzie na równi stawiano rozwój fizyczny i duchowy. Na marginesie: tylko jednemu człowiekowi udało się połączyć te dziedziny tak skutecznie, że zdobył medale w konkursie sztuki i na sportowej arenie. Był nim węgierski pływak Alfréd Hajós.

Zresztą w jaki sposób porównywać dzieła sztuki, skoro nie ma jasnych kryteriów oceny, a w dodatku utwory literackie operują różnymi językami? Przeczytałem „Laur olimpijski”, za który nagrodzono Wierzyńskiego i nie rzucił mi na kolana. Może nawet utwór trochę załatuje grafomanią. Ale dziennikarz sportowy ma prawo nie znać się na poezji, mogą więc się mylić.

Nie opadnie na siłach, nie osłabnie w pędzie

Złoty okres łączący twórców kultury i sportowców trwał w Polsce w czasach realnego socjalizmu. Bywanie na stadionach i w halach sportowych stało się niemal obowiązkiem literatów, piosenkarzy, aktorów i innych twórców. Nie ograniczano się do oglądania zawodów. Bodaż najsilniej zarysowały się te związki na płaszczyźnie towarzyskiej. Znany sportowiec lub sportsmenka byli ozdobą każdego salonu, do legendy przeszły niektóre spotkania, zwłaszcza te związane z biesiadowaniem. Dziś już chyba tylko piosenkarza Wojciecha Gąssowskiego można często spotkać na widowni imprez sportowych. Ostatnio wykonawcę pamiętnego przeboju „Gdzie się podziały tamte prywatki?” najczęściej można spotkać na meczach siatkarzy. Cóż, męska siatkówka to poziom światowy, a futbol? Lepiej nie mówić.

W ramionach drzemie rozmach katapult i proc

Długo można wymieniać nazwiska polskich sportowców, którzy grali mniejsze lub większe role w filmach. Największą gwiazdą ekranu był bez wątpienia mistrz olimpijski z Monachium w pchnięciu kulą Władysław Komar. Wziął udział w ponad dwudziestu filmach, z których najbardziej znanym są „Piraci” w reżyserii Romana Polańskiego.

Szczególnie chętnie angażowano bokserów. Prawdziwą karierę zrobił mistrz olimpijski z Monachium Jan Szczepański, którego będzie się pamiętać z „Urowadzenia Agaty” Marka Piwowskiego. U tego reżysera, razem z innym, i to dwukrotnie mistrzem olimpijskim Jerzym Kułejem, objął jedną z dwóch głównych ról w filmie „Przepraszam, czy tu biją?”. Jako milicjanci usiłujący namówić do współpracy studenta, wykazali się naprawdę dobrą sztuką aktorską.


ILUSTR. WŁODEK KIERUS

Jak boksują się muzy

Co ciekawe, tytułową rolę w filmie „Bokser” zagrał nie sportowiec, lecz aktor – Daniel Olbrychski, zresztą do dziś fanatyk sportu. Żeby odegrać realistycznie scenę walki w ringu, aktor brał lekcje u najsłynniejszego, legendarnego dziś trenera Feliksa „Papy” Stamma.

Mniej eksponowaną rolę w „Bokserze” zagrał prawdziwy bokser Leszek Drogosz. Jakoś zapomniany jest fakt, że

rola u boku Olbrychskiego przyspieszyła zakończenie kariery sportowej trzykrotnego mistrza Europy i brązowego medalisty olimpijskiego. Polski Związek Bokserski zabronił Drogoszowi występów w ringach amatorskich, a zawodowy boks w PRL nie istniał. Było to zresztą zgodne z przepisami międzynarodowej federacji, która co prawda nie zabraniała pięściarzom występów w filmach fabularnych, ale status amatora tracili, jeśli przyjęli za to gażę.

Takie to były czasy...

Każdy muskuł się zwinął w kłębek jak sprężyna

Nie zamierzam tworzyć antologii filmów, książek czy dzieł sztuki związanych ze sportem. Było ich tak wiele – i w Polsce, i za granicą – że nie wystarczyłoby miejsca na wymienienie choćby ważnych tytułów i nazwisk twórców. Nawet tak wielki polski malarz, jakim był Jerzy Nowosielski, nie oparł się pokusie sięgnięcia po sportowe tematy. W 1966 r. namalował obraz „Gra w piłkę”. Jak to we współczesnym malarstwie bywa, nie bardzo wiadomo, w jaką piłkę grają namalowane postaci, nożną, a może siatkową, ale że grają, to jest oczywiste. Znałe są też cykle Nowosielskiego poświęcone pływakom i gimnastyczkom.

Ograniczę się do mniej znanych faktów.

Burza kroków mych teraz zniszczy cię, rozgniecie

Kto nie słyszał o „Trzech tenorach” – nieformalnym zespole śpiewaków operowych, który podbił świat? Luciano Pavarotti, Plácido Domingo oraz José Carreras stali się rozpoznawalni nie tylko przez miłośników opery, a bilety na ich koncerty sprzedawały się błyskawicznie i za duże pieniądze. Nie każdy natomiast wie, że to artystyczne przedsięwzięcie ma sportowy rodowód.

Pavarotti, Domingo i Carreras zaproszeni zostali do wzięcia udziału w koncercie organizowanym w ruinach rzymskich Term Karakalli, który uświetniał finał piłkarskich mistrzostw świata w 1990 r. Mieli występować kolejno, jeden po drugim, ale ktoś wpadł na pomysł, że ciekawiej będzie, jeśli światowej klasy artyści zaśpiewają wspólnie. Trzej śpiewacy o znakomitych głosach i charakterystycznych, ale bardzo różnych osobowościach, zachwycili 6-tysięczną widownię w ruinach term i 800-milionową przed telewizorami. Trudno było nie wykorzystać tego sukcesu. Pavarotti, Domingo i Carreras już jako „Trzej tenorzy” dali jeszcze 34 koncerty w różnych częściach świata, wszędzie wzbudzając jednakowe zachwyty.

Inne ważne wydarzenie w życiu Luciano Pavarottiego także wiąże się ze sportem. Ostatni publiczny występ dał podczas Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Turynie w 2006 r., na rok przed śmiercią. Okazało się, że chory na raka śpiewak nie jest już w stanie śpiewać, koncert musiał się odbyć z użyciem tzw. playbacku. Artysta na scenie poruszał ustami, śpiew płynął z głośników.

Widownia oszalała, krzyczy, bije brawo

Jednym z najwybitniejszych rosyjskich kompozytorów, a kraj ten poszczycić się może wieloma znakomitościami, był Dmitrij Szostakowicz, autor słynnej Symfonii „Leningradzkiej”. Był też znanym kibicem piłkarskiego zespołu Zenit Leningrad. Często cytowano jego zdanie tłumaczące zainteresowanie futbolem: „Stadion jest jedynym miejscem w ZSRR, gdzie wolno nie tylko klaskać, ale też gwizdać”.

Obecnie najbardziej znanym kibicem Zenitu (już Petersburg, a nie Leningrad) jest aktor Mi-

chaił Bojarski. Stara się nie opuszczać żadnego meczu, bardzo często komentuje spotkania w telewizji.

Bojarski zdobył sławę rolą w niezwykle popularnym w ZSRR musicalu „Trzej muszkietierowie”, gdzie wcielił się w postać d’Artagnana. Nietrudno go zauważyć na trybunie Zenitu. Nosi kapelusz z obszernym rondem, trochę podobny do tego, w jakim lubi paradować błyskotliwy poseł PiS Marek Suski.

Ostatnio filmowy d’Artagnan stał się w Petersburgu bohaterem małej afery. Nieprawidłowo zaparkował samochód na Newskim Prospektie, a gdy pojawił się patrol policji, głośno wykrzykiwał, że on może łamać przepisy, bo jest Michailem Bojarskim. Ktoś sfilmował zajście smartfonem i pokazał je w internecie. Czyżby z działaczami PiS łączyło aktora coś więcej niż tylko rondo kapeluszowe, także pycha i poczucie bezkarności? Ludzie często zapominają, że dziś prawie każdy ma w kieszeni urządzenie, którym może nagrywać różne scenki. A później jest wstyd.

Bojarskiego wszyscy znają, ale tylko w Rosji. Inny artysta związany z futbolem znany jest na całym świecie.

Oto tu jest największe Koloseum świata

Elton John od dzieciństwa kibicował klubowi Watford F.C. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy klub, grający obecnie w Premier League, czyli najwyższej klasie rozgrywkowej, popadł w tarapaty finansowe, Elton John stał się jednym z najbardziej znanych wokalistów i kompozytorów, a co się z tym wiąże – multimilionerem. Nie zapomniał o piłkarzach. Wspomagał ich finansowo, m.in. organizując koncerty, z których dochód przysyłał na wsparcie Watfordu. Wreszcie kupił cały klub. Gdy odsprzedawał udziały kolejnemu właścicielowi, trybunę stadionu Vicarage Road nazwano jego imieniem, a muzyk został honorowym prezesem. Z tej zaszczytnej funkcji zrezygnował później na znak protestu przeciw polityce nowego kierownictwa klubu, ale nazwa trybuny pozostała, a sam Elton John, gdy tylko może, ogląda z niej mecze.

Dziś drogi sportu i kultury się rozeszły. Trudno się temu dziwić. Nie da się zagłębiać w sztuce szlachetnej rywalizacji, bo w niemal całkowicie profesjonalnym sporcie jest jej coraz mniej. Oczywiście sportowy temat przewija się we współczesnej sztuce, ale na pewno stracił w niej uprzywilejowaną rolę, jaką kiedyś się cieszył.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
w.mittelstaedt@op.pl

Śródtytuły pochodzą z wierszy Kazimierza Wierzyńskiego z tomu „Laur olimpijski”.



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – redaktor naczelny,
Przemysław Cwikliński, Waldemar Kuchanny, Andrzej Rozenek
(zastępcy red. nac.),
Mateusz Cieślak, Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat,
Tadeusz Jasinski, Michał Marszał, Marta Micińska,
Maciej Mikołajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wolk-Laniewska,
Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Współpraca: „Daniszewska i córka s.c.”

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 0-801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. (koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,
3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont.,
L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Prenumerata elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl
1 numer – 3 PLN, 5 wydań – 15 PLN, 13 wydań
– 39 PLN, 26 wydań – 78 PLN, 52 wydania – 156 PLN
Numer zamknięto: str. 1–16 – 27.11.2019 r.



– Widzenie! – zawoła strażnik, a Ziobro, był minister sprawiedliwości, pomyśli, kto to też chce go odwiedzić w więzieniu.

Ziobro wstanie z pryczy, wyjdzie z celi i prawidłowo się zamelduje: – Ziobro Zbigniew, syn Jerzego.

W ostatniej chwili dostrzeże dwóch innych strażników, którzy rzucą się na niego. Jeden założy mu nelsona, drugi wykręci rękę i zablokuje ją na plecach.

– To już? – pisnie Ziobro. – To już? To już?!

Strażnicy nie będą zwracać uwagi na jego szamotaninę; zaciągną go do niewielkiego pomieszczenia pozbawionego okien. Gdy zobaczy pętlę, struchleje. Podejmie jeszcze jedną próbę wyrwania się, wrzeszcząc, kopiąc i usiłując ugryźć. Dotrze do niego, że wszystko na nic. Nogi się pod nim ugną. Gdyby nie mocny uchwyt strażników, pewnie by upadł.

– Księżda? – zapyta naczelnik więzienia.

Ziobro pokręci głową.

– Papierosa?

– Nie palę – jęknie.

– Inne życzenie?

Ziobrze nic nie przyjdzie do głowy. Wzrokiem zajack złapanego w potrzask będzie się wpatrywał w linę.

Prokurator odczyta wyrok i ogłosi, że prezydent nie skorzystał z prawa łaski. Strażnicy zawloką Ziobrę schodkami na górę, postawią pod sznurem, założą czarną opaskę na oczy.

– Błagam – zapiszczy. – Błagam, proszę, nie...

Zapomni słów modlitwy.

Jeden kat założy mu na szyję posmarowaną mydłem pętlę. Oцени, czy długość sznura jest właściwa. Strażnicy odwrócą głowy. Drugi kat pociągnie za dźwignię, która uruchomi zapadnię. Ziobro spadnie w dół z wysokości mniej więcej metra. Pęknie mu rdzeń kręgowy na odcinku szyjnym.

Kaci poczekają, aż ciało przestanie drgać, a pływ fizjologiczne spłyną do umieszczzonego pod zapadnią blaszanego pojemnika. Po dziesięciu minutach lekarz stwierdzi zgon.

Kaci zdejmą zwłoki ze sznura i położą je na podłodze. Jeden, ściągając białe rękawiczki i rzucając je na nieruchome ciało, powie: – Człowieku, nie ja jestem winien twojej śmierci, lecz ty sam.

Drugi kat zgodzi się z tym zdaniem skinięciem głowy.

PRZEMYSŁAW CÍWIKLIŃSKI

pcwikla@redakcja.nie.com.pl

PS Opis powieszenia Ziobry jest happeningiem mającym na celu krytykę umorzenia przez Prokuraturę Okręgową w Katowicach śledztwa w sprawie wieszania na szubienicach zdjęć europosłów z Platformy Obywatelskiej.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



by blagier Urban

Świętego Benedykta

Pragnąc odebrać prawicy trochę głosów, część Koalicji Obywatelskiej głosi zasypywanie rowów, pojednanie zamiast walki. Mistrzynią tych umizgów jest Kidawa-Błońska. Są pierwsze rezultaty. Platformą polityczną już teraz jednoczącą opozycję z reżimem jest ochrona zwierząt. Wielką tu zasługę położyły tygrysy podróżujące przez Polskę, a szczególnie jeden, który stał się świętą pamięcią. Wszystkie zwierzęta już mniemają, że są ofiarami ludzi. Azor też uważa, że przeżywa katusze głodu. Porwał plastikowe opakowanie wędlin i próbował zeżreć.

Świętego Arkadego

W Krakowie odbył się Festiwal Piosenki Niezłomnej i Niepodległej. Prezes IPN Szarek wręczył Grand Prix paniom Gnot i Tylek. Szlagierem była „Bogurodzica” na metalicznie.

Świętej Dobroluby

Alkoholizm stanowi chorobę zawodową kleru. Przyznają to nawet katolickie publikacje. Kościół prowadzi zakłady odwykowe dla swoich funkcjonariuszy. Nie przeszkadza to jednak w kłamaniu, że nasi ludzie w PRL zabijali księży, siłą wlewając w nich wódkę. Tak miał zginąć – czytuję – ks. Zych. W stanie wojennym ów kapłan patronował grupie młodocianych terrorystów. Zabili oni w tramwaju sierżanta milicji Karosa, chcąc zdobyć jego broń, której nie dał sobie odebrać. Zych został skazany. Odsiedział, a po wyjściu z więzienia zmarł z przepicia nad morzem na przystanku autobusowym. Twierdzi się teraz, że zamordowała go SB, przemocą wmuszając mu alkohol. I to publicznie lejąc mu do gardła. Przy tym miało się to stać już po wyborach w czerwcu 1989 r. Prasa PiS twierdzi, że w Polsce chrześcijaństwo jest prześladowane. Wkrótce dowiemy się, że zdrańcy wobec katolickiej ojczyzny neomarksieści chodzą z lejkami i na szeroką skalę wlewają alkohol w poświęcone gęby.

Świętego Wawrzyńca

Morawiecki pokonał Netflix – ogłosił triumfalnie rzecznik rządu Müller. Premier wystosował do portalu list protestacyjny, gdyż zapieniła go mapka opublikowana w serialu

dokumentalnym, mająca rzekomo kwestionować niemieckie pochodzenie obozów zagłady i koncentracyjnych w czasie wojny. W istocie obrazek przedstawiał kontur Polski, a w nim swastyki i trupie czaszki z pieszczelami, czyli emblemat SS, dla oznaczenia lokalizacji obozów. Nie tylko zresztą w Polsce. Turbopatriotyzm czyni z polskości chorobę umysłową przenoszoną przez rząd, jego szefa i zwolenników.

Świętego Alberta

Lewica podgryza gardło językowi polskiemu, lansując żeńskie końcówki, np. gościni, posłanka, posełkini, ministerka, polityczka, kandydatka na premierę. Rozpacz z tego powodu autor „Do Rzeczy” Łukasz Warzecha i twierdzi, że języka nie da się sztucznie kształtować, w czym błędzi. A ja bym sfeminizował więcej zawodów niż feministki. Na przykład: katka, chirurgini, motorniczka, lokajka, marszałka, generałka, komandorka i oj-cówka. Kolego Warzecha, my mężczyźni, nie powinniśmy kobietom szczędzić końcówek.

Świętej Gertrudy

Małopolska kuratorka oświaty słynna Barbara Nowak mówi, że żeńskimi końcówkami chce się obalić cywilizację łacińską i zastąpić ją ideologią gender. Ta kobieta plecie bez sensu. Gender głoszące kulturową, zawodową, społeczną i mentalną tożsamość płci skłaniać przeciw powinno do jednorodnych końcówek na określenie roli zawodowych, a nie płciowe różnicowanie nazw. Nadzorczyńni szkół nie zna też historii. Ustanowienie praw wyborczych kobiet mylnie datuje na rok 1918. Uważa też, że dostały je one „dla podkreślenia roli kobiet w odzyskaniu niepodległości Polski”. Damskie prawa wyborcze nie pojawiły się jako nagroda dla kobiet, tylko jako objaw dorastania Europy do równości płci. Damską równość obywatelską wywalczyły raczej brytyjskie sufrażystki niż Emilia Plater, rzekoma dziewczica. Ta Nowak powinna być zdegradowana z kuratorki na uczennicę szkolną, i to z warkoczycami, żeby było za co ją ciągnąć.

Świętego Emanuela

Sfery artystyczne mają swoją konspirację. W niej dyskutowano ostatnio projekt czystki estetycznej wśród pomników Wojtyły. Działo

się to w warszawskiej kawiarni wydawnictwa „Czytelnik” tuż przy Sejmie. Jestem przeciw obalaniu najbrzydszych pomników, przeciwnie – ich dalsze mnożenie znakomicie obrzydza kult persony.

Świętej Salomei

Na portalu „Wyborczej” w weekendowym dodatku ukazała się obszerna rozmowa z moją córką i zięciem: Magdą i Adamem Grzesiakami. Są tam wzmianki o stosunkach ze mną w czasach gdy byłem rzecznikiem rządu. Uzupełniam. Adama, narzeczonego Magdy, wsadzono, gdyż był drukarzem pracującym na rzecz konspiracyjnej „Solidarności”. Córka przyszła więc do mnie, pytając, czy mogę pomóc. Powiedziałem, że tak, za kilkanaście dni Adam wyjdzie – obiecałem i tak się stało. A ja po prostu wiedziałem, że ogłosimy amnestię, czego nie mogłem oczywiście zdradzić. Prostuję, że nie dlatego złożyłem gen. Jaruzelskiemu gotowość dymisji, iż córka wychodzi za nielegala. A tak mówią Grzesiakowie. Było zaś tak. Wezwał mnie Jaruzelski, był u niego gen. Kiszczak. Uprowadził mnie, że u Magdy w domu będzie rewizja. W związku z tym właśnie zgłosiłem gotowość dymisji, zatroskany tym, że przysporzę rządowi kłopotu politycznego z powodu zaangażowania rzecznikówny w „Solidarność”. Gen. Jaruzelski powiedział dosłownie tak: „My jesteśmy dzielni generałowie, więc się waszej córki nie boimy”. Odzyskując moją dymisję, zaproponował, żebym sprowokował wyjazd córki na czas, gdy do jej kawalerki wkroczy SB. Chodziło o to, by uniknąć jej zatrzymania. A ja polecenie wykonałem, posługując się pośrednictwem mojej matki, a jej babki.

Świętego Zbysława

Marszałkini Sejmu pani Witek – przy okazji powoływania Krystyny Pawłowicz i Piotrowicza na sędziów konstytucyjnych – ujawniła nową regułę funkcjonowania parlamentu. Posłowie głoszą dowolną liczbę razy nad tym samym, aż do skutku w postaci wygranej PiS. Ostrzegam: trick ten doprowadzi do zmiany konstytucji. Głosować się będzie tak długo, aż głód i bezsenność posłów zapewni Kaczyńskiemu potrzebną do tego większość.

sekr@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 75

